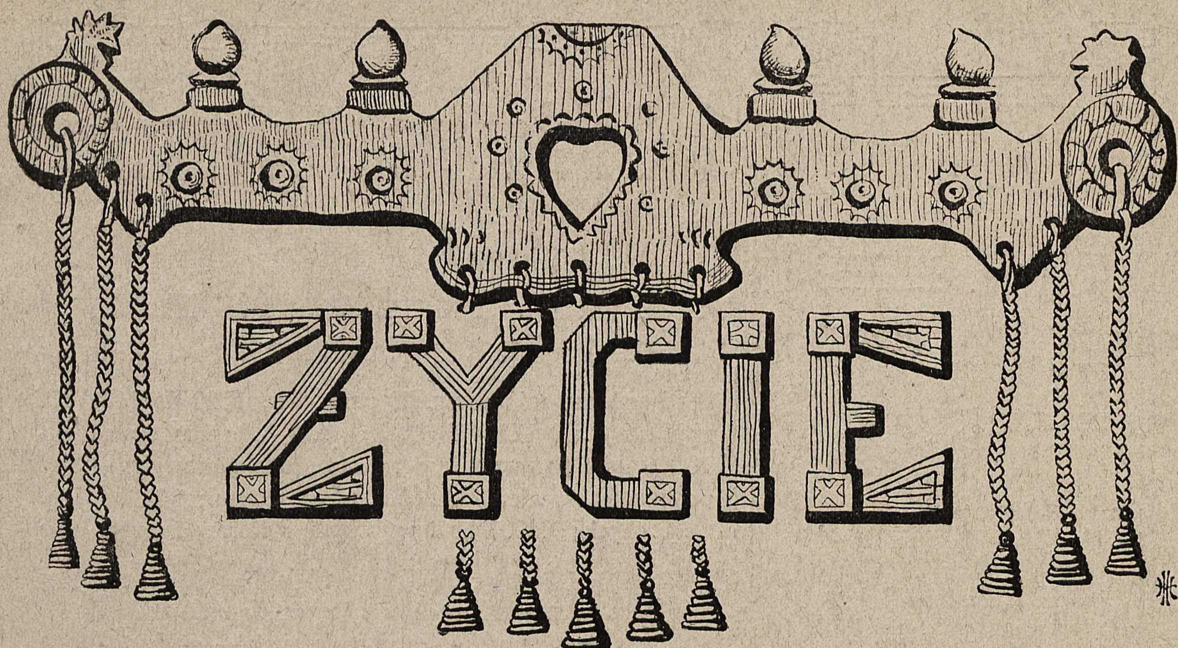


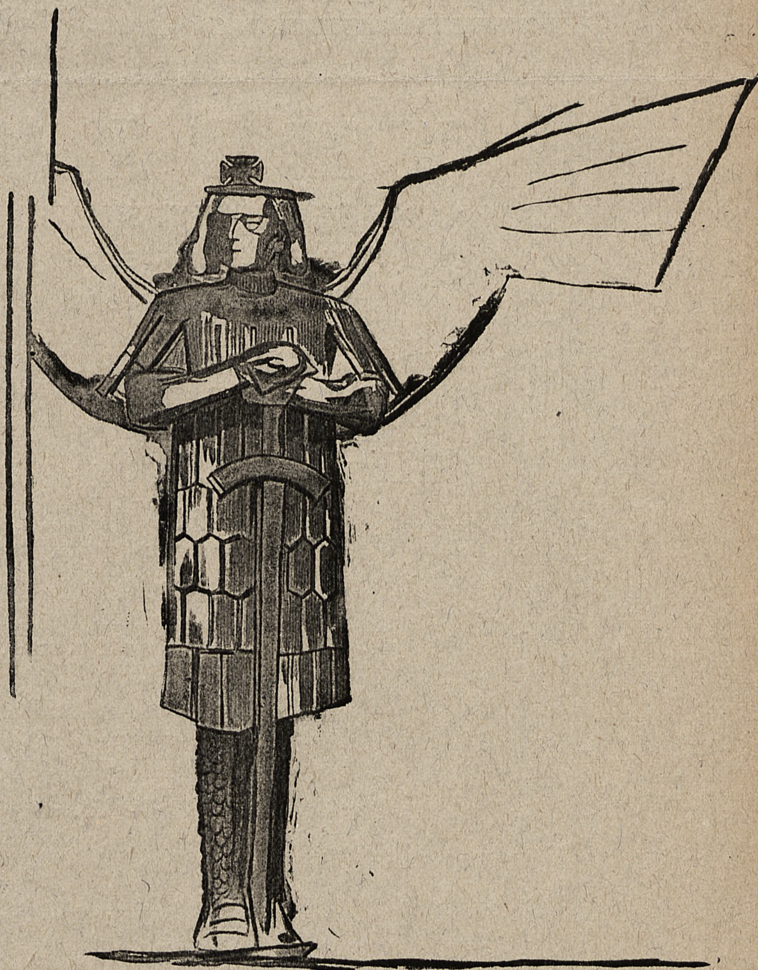
G. DANIŁOWSKI: *Wrażenia i refleksye.*
F. GWIŻDŻ: *Z nowych poezyi.*
J. KADEN: *O odlocie.*
T. SZEWCZENKO: *Testament. Tł. G. D.*
SZPON: *O Rosyi. Listy z Warszawy.*
L. KULCZYCKI: *Stosunki polsko-rusińskie w Galicyi.*
M. TURZYMA: *„Obcokrajowcy".*
Dr. AL. LISIEWICZ: *Budżet miasta Lwowa.*
NEGO: *Z pod pióra.*
SPRAWOZDANIA.
SILVA RERUM: *Przypomnienie.—W odmętach korupcyi. — Odezwanie się duszy.— Z teatru.*

ROCZNIK II. ZESZYT XIII.
DNIA 25. MARCA 1911 R.

Wydawcy:
Dr. Aleksander LISIEWICZ. Hipolit ŚLIWIŃSKI.
Redaktor naczelny: GUSTAW DANIŁOWSKI.
Redaktor odpowiedz.: Dr. MARYAN KUKIEL.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA WE LWOWIE,
ULICA DĄBROWSKIEGO L. 2.

NUMER ZŁOŻONY I ODBITY W „DRUKARNI POLSKIEJ" („KURYERA LWOWSKIEGO") LWÓW CHORĄŻCZYZNA 31. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA". :: WE LWOWIE I WIERZBICKIEGO W WARSZAWIE) ::





TĘCZA
ZAKŁAD REPRODUKCYJNY i ŚWIATŁODRUKÓW
MICHAŁA POLASKIEGO i SKi.
LWÓW. UL. ZIMOROWICZA 14.
KLISZE CYNKOWE i MIEDZIANE
DLA ILUSTRACYJ WYDAWNICTW ARTYSTYCZNYCH CENNIKÓW, KATALOGÓW ADRESÓW IT.P.
FOTODRUK
FOTOLITOGRAFIA
NEGROGRAFIA
REPRODUKCYE OBRAZOW FOTOGRAFI RYSUNKOW PLANÓW TECHNICZNYCH SPORZĄDZANIE MATRYC, KOMPLETNE ADJUSTOWANIE PLANÓW TECHNICZNYCH ZDJĘCIA FOTOGRAFICZNE Z NATURY
WYRÓB i GŁÓWNY SKŁAD ILLUSTROWANYCH KART POCZTOWYCH.
TELEFON 1091.



ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI

GUSTAW DANIŁOWSKI.

WRAŻENIA I REFLEKSYE.



ako obcy poddany, nie mam ani czynnego, ani biernego prawa wyborczego w Galicyi.

Prywatnie więc w ostatnich wyborach do rady miejskiej nie byłem zaangażowany, a moje sympatye czy antypatye polityczne mogły nosić jedynie charakter platoniczny.

Byłem jednak ciekaw tej gry i w dniu walnej rozprawy stałem przed ratuszem, a nawet przeszwarcowałem się bocznem wejściem do gmachu i znalazłem się w dziwnem otoczeniu: miast poważnych obywateli po korytarzach uwijały się mocno zaaferowane podejrzanego wyglądu figury — jak mnie objaśniono, hyeny wyborcze, które sprawiały wrażenie czynników niemal decydujących o ostatecznym rezultacie woli wszechmocnego guldena.

Gdy mnie to widowisko raziło i gorszyło, miejscowi ludzie tłumaczyli mi, że wszystko jest w porządku, że inaczej nigdy nie było i nie bywa, że staropolskie: „czapką, papką i solą“ w zmodernizowanej formie brzęczącej gotówki trwa w dalszym ciągu, staje się obyczajem powszechnym, rozprzestrzenia się jak zaraza na coraz szersze warstwy, popularyzuje się.

Sprzedaży i kupna głosów nikt się nie wstydzi, nikt się z tem nie kryje. Tylko handlarzy żywym towarem ściga się i karze, tego zaś handlu nikt się nie troszczy ukrócić, bo uprawiają go wszyscy.

W takich warunkach nie podobna się zoryentować, po czyjej stronie była rzetelna wola świadomych wyborców; by otrzymać prawdziwy rezultat, trzeba być za kulisami każdego z komitetów i komiteczików i wprowadzić odpowiednią poprawkę na szachrajstwa.

Nie byłem za kulisami żadnego; kto, jak i czem kupczył? nie wiem — znam tylko wynik: narodowa demokracja tryumfuje, postęp wyszedł bez zdobyczy.

I zdaje mi się, że niepodobna przyczyn takiego stanu rzeczy upatrywać jedynie poza sobą w metodach walki przeciwnika, w potężniejszych jego środkach finansowych: istnieją pewne felery w tak zwanym postępie naszym, tamujące jego rozpęd, pewne braki, których usunięcie jest jedyną rękojmią trwałych, a nie przypadkowych zwycięstw.

Skutkiem wielu klęsk, utraty bytu politycznego, a po 63 roku nawet nadziei, staliśmy się społeczeństwem rozbitem, niemal rozproszkowanem, i gdy w innych obozach nastąpiła z czasem

pewna mniej lub więcej silna konsolidacya, postęp ulega w dalszym ciągu niezwykłemu rozproszeniu.

Wielkiego spoiście zorganizowanego postępowego stronnictwa niema, istnieją tylko tu i ówdzie związane nietyle formami organizacyi ile osobistemi stosunkami rozmaite odmiany grup postępowych i mnóstwo jednostek, chodzących luzem.

Z tego względu walka postępu nosi charakter sporadycznej partyzantki, a w chwilach decydujących, podczas gdy taka np: narodowa demokracya, jako zorganizowana i karna armia mobilizuje się, postęp zwołuje pospolite ruszenie i werbuje na czas tylko potrzebny rekrutów. — Charakterystyczny fakt tej indolencyi i ślamazarności zaszedł w dobie ostatnich wyborów.

Chodziło o walne zebranie Bratniej Pomocy, w którem większość liczebna żywiołów postępowych gwarantowała im odpowiednie stanowisko w zarządzie domu akademickiego. I cóż się stało? Narodowi demokraci stawili się co do jednego, natomiast wielu postępowców uważało za zbyteczne zjawić się i w ten sposób postęp znalazł się w mniejszości.

Gdy żołnierz powołany nie stanie do szeregu, zyskuje niezaszczytne miano dezertera i ponosi karę — tu wszystko uszło na sucho i wszyscy nieobecni są w dalszym ciągu postępowcami, uważając widocznie, że przyznawanie się do pewnych poglądów jest już samo przez się dostatecznym tytułem do zasługi.

Tymczasem jest wręcz przeciwnie — jednostki tego rodzaju są wprost szkodliwe, bo jak zera nie grają żadnej roli w ogólnym bilansie, a tylko plączą się niepotrzebnie i mylą rachunek.

Brak organizacyi, a co zatem idzie, brak zorganizowanego współżycia potęguje rozbieżność poglądów na wiele spraw, współdziała wydmuchiwaniu drobnych indywidualnych różnic do rozmiarów zasadniczych, które rozbijają solidarność.

Przy takiej drażliwości, by trzymać się kupy, postęp w sformułowaniach swych poglądów, gdy chodzi o rzecz realną staje się ostrożny, dwuznaczny i mętny.

Znając jakąś sprawę, wiem z góry jakie w tym wypadku stanowisko zajmie „Słowo Polskie“, jakie „Naprzód“, ale jakie „Nowa Reforma“ nie jestem nigdy pewny, bo ona się musi liczyć z całą skalą indywidualnych zapatrywań: różowych, czerwonych, bladych, stając się sama przez to w barwie spłowiałą.

Narodowa demokracya prócz silnej organizacyi i karności godnej naśladowania posiada jeden jeszcze plus usposabiający dodatnio opinię ogółu — „wszechpolskość“.

W innym duchu niż polski rewolucyjny socyalizm, ale za jego przykładem, należy przyznać, potrafiła ona znieść granice kordonów i nawiązać nici ze wszystkimi zaborami. Postęp natomiast żyje dalej w zaściankach.

Nie znamy ani jednej szerszej akcyi przedsięwziętej wspólnie przez postęp całej Polski, podczas gdy N — decya i rewolucya krząta się tu i tam, wymienia się ludźmi, wzajemnie zasila. Szerokość rozmachu, wyrazistość, podniosłość ideologii postępowej jest szczególnie ważną ze względu na sytuacyę, że się tak wyrażę, pozaklasową obozu postępowego.

Socyalizm opiera się na proletaryacie i siły jego potęguje nietylko ideologia, ale dobrze zrozumiany interes szerokich warstw. To samo da się powiedzieć o ludowcach.

Postępu nie podpiera żadna określona warstwa, ale zwolenników może on zdobywać w każdej, o ile istotnie staje się dzielnym bojownikiem szczytnych dążeń, o ile potrafi ujmować dusze właśnie wolną od osobistych korzyści ideologią, o ile jako składający się z ludzi światłych, staje się gorącem sercem, uczciwem sumieniem i inteligencyą narodu.

W ideologii i w działaniach postępu powinny zawsze drgać hasła porywające, a w głosie dzwonić szlachetny ton.

Nie będąc reprezentantem ściśle żadnej klasy musi umieć jak niektórzy wybitni ludzie — godnie reprezentować sam siebie i imponować każdej.



FELIKS GWIŻDŻ.

Z NOWYCH POEZYI.

SKARGA.

Siadłem na zmarzłej skale
Nad wodą, wartką wodą; —
Bulkoczą i szumią fale,
Lśnią w słońcu białe hale
Radością wiecznie młodą.

Powietrze mię odurza
Przeczystą, świeżą wonią,
Jakgdyby na te wzgórza
Opadła z niebios róża,
Pieszczona świętą dłonią.

Jak bajka cicho grana,
Las w śniegu szumi, gędzi — —
A wyżej gra polana,
Woń róż niepokalana,
U stóp szmer fal — łabędzi...

Dobrze mi tu, spokojnie
Na tej, jak głaz, skrzyżali...
Walczyłem ciężko, znojnie,
Przyszedłem tu po wojnie...
Przegrałem... Ból mnie pali...

ZWIESILIŚMY ŁBY...

Zwiesiliśmy łby, jak stare konie,
Które wozu już ciągnąć nie mogą.
Wzrok nasz w głuchej, martwej dali tonie
Z przytępioną o garść owsa trwogą.

Zwiesiliśmy łby i stoim cicho
W skisłem bagnie, które zwolna, zwolna,
Jak przeklęte, krew pijące licho,
dusi duszę, co jest jeszcze — wolna!

O, bo duszę mamy wolną jeszcze!
Wszystkie szyldy nasze głoszą o tem!
Sam, jak cackiem, tą myślą się pieszczę
I pieśń śpiewam: — »Jak cudnie pod [błotem«!...

BICZ.

Znalazłem w polu, w szczerem polu
Pasterski bicz z przepiękną kiecką
Barwy bławatu i kąkolu.

Tym biczem cieszę się jak dziecko.
Gdy smutno mi, gdy jad szarzyzny
Pod serce wdziera się zdradziecko,

By znaleść grunt pod rozpacz żyzny —
Ja z bicza strzelam w lewo, w prawo,
Jakby o całość szło ojczyzny

I wołam: — »brawo, brawo, brawo!«



JULIUSZ KADEN.

O ODLOCIE.



cieli się szare, gorzkie niebo nad światem, a świat, — dzieło szaleńca. Nad polami, rzekami, a rzeki — nieustanną skargą płynące. Ścieli się nad górą, jarem, parowem i wądołem. A góry — wybuch ziemi, a jary, parowy — ziemi rany i klęski. Nad pustynią, a pustynia—opuszczony łachman piachu. Nad ustroniem i ugorem. A ustronie — miejsce samobójcy, a ugór — łąka nieurodzaju. Nad rżyskiem, a rżysko — cierniowe pole, ściętej na pniu nadziei. Nad sadybą, wsią i nad miastem. A w mieście jesień i mrok.

W zaułkach pomarły wieczorne skargi dzwonów. Kamiennym grzechotem przesypał się w ciemość głuszącą warkot ociężałych wozów. Prąd ludzi, co biegną w prawo, w lewo, wzdłuż, wszerz ustał i zamilkł. Zdrzemło się miasto. Jego zwartą ciszę drążą rzadkie kroki przechodnia — leniwe, spóźnione krople już precz idącej nawałnicy.

Z ciemnej czeluści wyłania się rzezak w klin żórawiego odlotu ustawiony. To starcy. — Ramieniem spada stopa po stopie na bruk. Krok w krok i krok za krokiem — cały pochód.

Odziani są w znoszone wiotkie ubranka — w zrudziałe strzępy mroku i mgły.

Na głowach czapy wypatroszone oklisłe — porwane gniazda, z których ptak mocy odleciał a ciągłym przewiewem gości niewyczerpana troska.

Oczy staruszków — rany niezgojone. Serca w piersi uwiądem dotknięte, jako łzawice łez, pełne niedoli. Serca — grona goryczy, serca — kamienne szkaplerze, serca — przyciężkie dzwony — drżą...

W rozchwierutanych ramionach, w rękach owitych czarnym szpagatem, żył długie miotły. Umiatają niemi strudzeni starcy nierząd dnia, pochlebną czystość nierządowi nocy gotując.

Kroczą. Kamieniem spada stopa po stopie na bruk. Krok w krok i krok za krokiem. A miotły wiosła rosochate wiosłują w prawo, w lewo, a miotły— śmigi strzępione świszczą, sterują, sterują, żeglują, świszczą, drapią i syczą.

Trzęsie się stare bractwo, dygoce, drży. Głowy się chwieją, serca się w tętnie mylą, nogi trud pęta, a czarny szpagat krzepnących żył ściska się w węzły, guzy i niedowładem ręce wikła.

Spada stopa po stopie na bruk. Rok w rok i rok za rokiem — całe lata odchodzą starcy.

Siwe korony ich włosów — wieńce piołunu, a uwieńczyła niedola.

Mętna ślepota ich oczu — biały jad mlecza, a wyżerała nim troska.

Zetlałe w żarach serca, — łąki pokrzywy, a obsiewała nią krzywda.

Pół ślepi, przemietli wszystkie ulice miasta, oto już są u bram a oto za bramami.

Wznoszą swe grzbiety, wedle miast czuwające żórawie rogatek. Świat odemknęły.

* * *

Oto już są starcy na płynnej zieleni łanów i łąk.

Zamknięte przełazy skorej chęci odchylają się same.

Oto już są przy rzece, nieustanną skargą płynącej.

Rzeka się mostem przymierza mości.

Oto już są u gór podnóża, wśród ziemi kamiennych wybuchów, na ścieżyn rozkręcie.

Ścieżyną zaufania żłobi się góra. Oto już są na wirchach skalnych, na rysach i przepaściach.

Rysy się stroją kryzami dostępu. Przepaści jako ramieniem obejmują się przełęczami.

Oto już są nad jeziorem.

Prom nadziei ku stopom kroczącym podpłynął.

Oto już są nad morzem.

Konchą szafiru i ametystu zwiera się niebo z morzem w zawartą wnękę muszli, która lęgnie perłę księżyca.

Idą krok w krok, rok za rokiem. A miotły, wiosła rosochate wiosłują w prawo, w lewo, a miotły-skrzydła świszczą, sterują, żeglują.

Kluczem żórawi płyną starcy precz z ziemi i nieba w przestwora śmierci...

Siwe korony ich włosów — wieńce piołunu a uwieńczyła niedola.

Mętna ślepota ich oczu — biały jad mlecza, a wyżerała nim troska.

Zetlałe w żarach serca — łąki pokrzywy, a obsiewała nią krzywda.

* * *

Piołunem niedoli, jadem troski, pokrzywą krzywdy niech się tedy chętnie żywi serce bojownika, któryby lekkomyślnie zamarzyć śmiał żórawiego odlotu wstęgę przedwczesną.



T. SZEWCZENKO.

TESTAMENT.

A gdy umrę pochowajcie mnie
W łonie mogiły,
Pośród stepu szerokiego,
W Ukrainie miłej.

Bym miał widne bujne łany
I Dniepr i urwiska,
Bym mógł słyszeć, jak potężny
Rwie i pianą pryska.

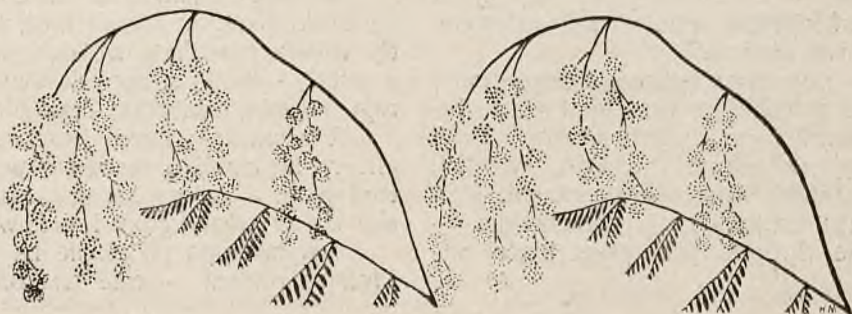
Gdy zaś buchnie z Ukrainy
I popłynie w morza siny
Szlak — potok krwi wroga,
Rzucę wszystko, wzgórza, pola.

I poniosę modlitw łkanie
Do samego Boga,
Bo uwierzę — jak się stanie,
Że jest Jego wola.

Pochowajcie, sami wstańcie
Rwać niewoli liny
Sprawić wrażą krwią wolności
Własnej świetne chrzciny.

A, gdy wielka się zaświęci
Ta rodzina nowa,
Wskrzeście o mnie w swej pamięci
Dobre, ciche słowa.

Tł. O. D.



O ROSYI.

LISTY Z WARSZAWY.

Artykuł ten, pióra jednego z najwybitniejszych publicystów warszawskich, pisany kilka miesięcy temu, dopiero temi dniami dostał się w nasze ręce. Zyskuje on na interesie w momencie dymisyi gabinetu Stołypina i przesilenia w rosyjskim rządzie.

Redakcya.

I.



zem polityka być powinna? Powinna ona być stosowaniem doświadczeń wiedzy do praktycznego życia społecznego. Powinna ona być uświadamianiem i budzeniem społecznego instynktu samozachowawczego. Powinna ona być poradnikiem i propagandą celowego zrzeszania i skupiania wysiłków ku obronie i zdobyczom dobra społecznego. A czem jest publicystyka obecna? Jest ona oszukiwaniem społecznego instynktu samozachowawczego, jego znieczulaniem lub wypaczaniem. Jest ona nieuctwem stosowanem do praktycznego życia społecznego. Jest ona spieniężaniem osłanianej nicości czynu, uczuć i myśli, pokrywanych wyuczoną sentymentalną deklamacyą na zimno z domieszką patryotycznej pantominy. W tych okolicznościach ludzie pióra wręcz przeciwnego typu, którzy jak ów hetman mogą o sobie mówić: „ani z roli, ani z soli, tylko z tego co mnie boli", którzy tylko pod działaniem męki moralnej biorą pióro do ręki, nie mogą nigdy dość się odgradzać od najmitów-pismaków, którzy do każdej roboty dadzą się nająć, icytowani „in plus" a często „in minus". W tych okolicznościach tytuł dziennikarza-publicysty, mogący skądinąd być zaszczytnym, musi być odczuwanym jako zniewaga przez każdą jednostkę, która nie zatraciła dostojeństwa, męstwa, szczerości. Gdyby do tych płaskich zwierzątek cechu pisarskiego było właściwem stosować styl uroczysty, możnaby było za poetą powtórzyć: „Ja wami gardzę, ja tak wami gardzę — Że słowa wzgardy stygną na mej wardze". — Społeczeństwo obsługiwane przez publicystów-zdrajców, publicystów-łgarzy, publicystów-tchórzów niezdolnem się staje uświadomić sobie, że się ono stacza w przepaść i niemal codziennie zachodzi potrzeba naprawiać zło tych szkodników na niwie społecznej. — Tym razem chcemy sprostować niewłaściwą ocenę i pojmowanie bieżących zjawisk politycznych, jakie się zakorzeniło pod wpływem publicystycznego przedstawienia sprawy. Mając oczy i uszy karmione bezustannie oglądaniem i wysłuchiwaniem samowoli i gwałtów pojedynczych jednostek, stojących ponad prawem i poza jego obrębem, wytwarza się duża skłonność do uznawania publicystycznego przedstawiania rzeczy, które nam przedstawia wielkie wydarzenia polityczne uzależnione od pojedynczych jednostek. Bülow, Pichon, Izwolski, Wilhelm II, Aerenthal, Grey, Pitoni, Witte, Stołypin i t. d. oto w interpretacyi publicystycznej czynniki politycznego „jest" — i politycznego „stawania się". Rozumie się, że na polityczne „jest" i na polityczne „stawanie się" należy zupełnie innem okiem patrzeć. Nawet w organizacyach politycznych najwięcej arbitralnych jednostki, które sobie wzięły lub otrzymały darmo dyktaturę, są tylko symbolami i bezwiednymi niewolniczymi wykonawcami wyroków deterministycznych historyi, wykuwanej przez czynniki fizyograficzno-rasowe. Sięgając po przykład najbliżej leżący, możemy zwrócić uwagę i z tego stanowiska spojrzeć na politykę p. Stołypina. O polityce p. Stołypina można powiedzieć, że jest ona w swoim rodzaju arcydziełem. Arcydziełem w „genre ennuyeux". Pan Stołypin uosabia w sobie geniusz Rosyi, a jak mówi Zola: „l' homme de génie n'a jamais d' ésprit". Przy całej swej genialności polityka p. Stołypina nie ziści tego, co jej autor zapowiada t. j. „zbawienia Rosyi". Czy może być p. Stołypin odpowiedzialnym za to? Gdyby nie okoliczność, że historya ma swych niewolników, których tyranizuje, mógłby być on odpowiedzialny przed trybunałem nauki ale ta słowami Hegla już orzekła „alles was ist, ist vernünftig". Jeżeli pan Stołypin grzeszy, to popełnia grzech nieosobisty, grzech cudzy, grzech historyi Rosyi ujawnionej w jej tradycyi, w poprzek której p. Stołypin niema mocy i odwagi stanąć, choć lubi powtarzać osławione „nie napugajesz". To bardzo efektownie i bohatersko brzmi, gdy człowiek zaznacza nieustraszone stanowisko, stojąc twarz w twarz przed osobistem niebezpieczeństwem w jakiejbądź postaci. Inną metodę miał Papkin Fredry, którego zwyczajem było wykrzykiwać:

„A wy łotry! a wy tchórze,
Jutro cały zamek zburzę"

tylko wówczas, gdy niebezpieczeństwo samo przez się zupełnie minęło. Jednak formalnie, gdy p. Stołypin utrzymuje, że „zbawia Rosyę" ma on najzupełniejszą słuszność. Ludwik XIV. naprawdę „Wielki", o którym Mazarini mawiał, że możnaby było z niego wykroić dziesięciu porządnych ludzi i jednego króla na dodatek, zwykł utrzymywać „l'état c'est moi". Szlachta pod „Polską" rozumiała siebie, a historya państwowa Polski była historyą szlachty. Rosya dzisiejsza i nie tylko dzisiejsza, jak to zobaczymy poniżej, to jej biurokracya, zatem p. Stołypin jako wódz naczelny biurokracyi ratując ją, ratuje temsamem Rosyę. Wprawdzie to ratowanie Rosyi, inaczej biurokracyi, jest więcej ambarasowne niż kiedykolwiek. Pełnomocnictwami generał-gubernatorów trzeba zawieszać wszystkie prawa począwszy od praw przyrody a kończąc na prawach historycznych. Trzeba uspakajać i uspakajać szubieni-

cami, patronami aż do osiągnięcia spokoju i martwoty cmentarza. Trzeba wciąż pomnażać ilość „tajemnic stanu“, pomnażać cenzorów, którzyby przyuczali przymusem do kłamstwa i udawania, podniesionych do wyżyn naczelnych zasług i obowiązków obywatelskich „ad majorem gloriam państwowości“. Mało tego, trzeba jeszcze w koszarach gotować lepszy barszcz, przyzwoiciej odziewać i nawet wtłaczać w mózgi sołdackie koncepcye patryotyzmu „ad hoc“, które zapewniałyby dyktaturę biurokracyi. Wszystko to są kłopoty nielada, z którymi p. Stołypin doskonale sobie radzi, tak, że nie można się dziwić, gdy tytuły, zaszczyty i pieniądze sypią się jak z rogu obfitości na głowę Stołypina, od którego dziś nie można wymagać, ażeby był Cyncynatem. Szkoda, że p. Stołypin pomimo uprawnionej platonicznej kurtuazyi dla polskiej kultury, nie zna jej historyi. Skoro, jak zapewniają poważni mężowie stanu, uczenie się polskiej historyi zagraża rosyjskiej państwowości, trudno przypuścić, ażeby p. Stołypin, będący aniołem stróżem i wcieleniem tej państwowości, dopuszczał się tak antipaństwowego czynu, jakim jest poznanie dziejów narodu polskiego. Niejednego mógłby się z tego nauczyć. I w Polsce w krytycznej chwili ratowano „złotą wolność“ i przy sąsiedzkiej pomocy ją uratowano; cóż z tego jednak, skoro gdy uratowano „złotą wolność“ szlachty polskiej, tyleż samowolnej i swawolnej co i rosyjska biurokracya, Polskę dyabli „wzięli“. Odbyło się to nie bez uratowania honoru. „Tout était perdu hors l' honneur“. Komisya Edukacyjna, manifest Połaniecki Kościuszki i Racławice uratowały honor upadłej Polski. Jest inny moment z wielu, które zalecićby można troskliwej uwadze p. Stołypina. W XVI stuleciu kiedy oprócz inkwizycyi nie było w Polsce ani świeckiej opricziny-ochrany, ani świeckiej cenzury państwowej, natchniony ks. Skarga, mając wizyę przyszłości, cisnął w twarz króla i najwyższych dostojników wielkoduszną skargę wysłuchaną przez króla ze skupieniem, smutną zadumą i majestatem. Skarga mówił . . . „będziecie jako wdowa osierociała — wy, coście drugie narody rządzili, i będziecie ku pośmiewisku i urąganiu nieprzyjaciołom swoim. Język swój — — — — — — — — i naród pogubicie i ostatki tego narodu tak starego, po świecie rozkwitnionego, potracicie i w obcy naród, który Was nienawidzi, obrócicie, jako się innym przydało. Będziecie nie tylko bez pana krwi swojej i bez wybierania jego, ale też bez ojczyzny i królestwa swego, wygnańcy wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy, włóczęgowie, które popychać nogami tam, gdzie was pierwej ważono, będą — — —“ Mówiącego to Skargę bynajmniej nie spotkał los metropolity Filipa, którego opriczina w lochu więziennym zadusiła za nagany udzielane Iwanowi Groźnemu. Szkoda, że historya nie jest i nie może być mistrzynią bieżącego życia, bez znoszenia prawa przyczynowości i determinizmu historycznego. Skoro tylko raz powstaną te same przyczyny, nieodwołalnie tych samych skutków oczekiwać należy.

Nie można powątpiewać, że p. Stołypin „proprio motu“ i za przyjacielską poradą sąsiadów uratuje złotą wolność biurokracyi i temsamem zgubi Rosyę, bo Rosya albo będzie konstytucyjną, albo jej zupełnie nie będzie. Jest to syllogizm, gdzie i przesłanki i wniosek nie podlegają żadnej wątpliwości. Stanie się według słów Heinowskiej piosenki

„Die Katze ist geretet — Und du bist todt kleines Kindchen.

A szkoda, gdyż Rosya powinna być uratowaną. Powinna ona być uratowaną po to, ażeby dać możność tej jawnogrzesznicy w walkach cywilizacyjnych Europy odkupić swoje straszne grzechy.

Jeżeli się pospiesznie nie przystąpi do ratowania Rosyi, to niedaleką jest ta chwila, gdy ponownie jakieś poselstwo złożone z pokolenia zrozpaczonych Diedulinów, Garinów i Neuhardów zwróci się do jakiego Hohenzollerna n. p. ze słowami: „Zemlia nasza obilna i bogata, no poriadka w niej niet, priditie kniażit' nami“.

Kto z uwagą wnika w przemówienia p. Stołypina w Dumie, z łatwością zauważy, że nie brak im historyozoficznego zabarwienia. Bez trudu może p. Stołypin udowodnić swoim słuchaczom, że wszystkie jego zarządzenia i „zakonoprojekty“ są jedynie wykonalne, jedynie trzeźwe, gdyż są wykonaniem nakazów tradycyi historycznych Rosyi, wyrażających dynamizm rozwojowy państwa rosyjskiego. Tę tradycyę usiłuje zawsze p. S. rozpłomienić odnośną ideologią ile razy nie wydaje się mu ona dość rozbudzoną pośród grona słuchaczów Dumy mianowanych za pomocą ordynacyi wyborczej. Ją to chrzci on mianem „narodowości“, nie zważając, że świadomość i poczucie narodowe może jedynie powstać w atmosferze swobód obywatelskich, w warunkach bezpośredniego czynnego udziału każdego w zarządzeniach państwowych. Państwo policyjne nie spełniające należycie nawet tych zadań kulturalnych, od których byt jego bezpośrednio zależy, nie dostarcza warunków, w których mogłoby powstać i wzmagać się poczucie narodowe. Wszelka furya policyjna lub militarna, wszelka kancelarya, nie mają nic wspólnego z racyonalizmem, gdyż roślina ta tylko na gruncie republikańskim wyrasta. Otóż dlatego właśnie, że p. Stołypin świadomie czy bezwiednie namaszcza siebie na wykonawcę wyroków historyi Rosyi, nie zdoła on jej uratować. Kto chce ratować Rosyę, musi stanąć w poprzek jej historyi, gdyż rozpęd jaki ona przybrała tylko zgubę jej zgotować może. Choć p. Stołypin lubi robić jowiszowe, olimpijskie giesty, niema jednak tej mocy woli i umysłu, niezbędnej do odegrania roli zbawcy ojczyzny. Woli on płynąć z prądem, gdyż to nie kosztuje trudów, zwalnia od niebezpieczeństw, dostarcza zaszczytów i bogactw bez miary. Jest to droga niebezpieczna dla zdrowia moralnego jednostki.

O taką podwodną skałę rozbijają się nawet tęgie charaktery i nawet „ésprits forts“. Jak Oskar Wilde orzekł: „nic tak nie upadla jak bogactwo i powodzenie“.

Kto nie chce udawać za pieniądze i ordery zbawiciela Rosyi, a chce nim być, ten musi naśladować Rodziczewych, Pagodinych, książąt Trubeckich, Milukowych i im podobnych i żadna siła ludzka nie zdoła tej konieczności usunąć.

LUDWIK KULCZYCKI.

STOSUNKI POLSKO-RUSIŃSKIE W GALICYI.

Artykuł niniejszy, pióra wybitnego socyologa i publicysty, stałego referenta spraw galicyjskich w „Prawdzie“ warszawskiej, otwiera dyskusyę w kwestyi niezmiernie doniosłej dla naszego kraju i narodu; w sprawi tej zamieścimy dalsze głosy wolne z różnych wypowiedziane stanowisk, zastrzegając sobie głos ostatni.

Redakcya „Życia“.

I. Sumienna obserwacya stosunków galicyjskich musi doprowadzić do dwu wniosków: 1) że antagonizm polsko-rusiński zaostrza się coraz bardziej; 2) że utrudnia ogromnie, a nawet omal, że nie uniemożliwia szerokie reformy demokratyczne i postępowe w kraju naszym, gdyż, pod pozorem „zagrożonego stanu posiadania polskiego“, łączy konserwatystów i nacyonalistów z demokratami i ludowcami.

Taki stan rzeczy jest bardzo niekorzystny dla naszego społeczeństwa, które powinno się szybko demokratyzować i które, dla wszechstronnego swojego rozwoju, potrzebuje wielu reform ekonomiczno-kulturalnych i postępowych. Niechcąc odbiegać zbytnio od przedmiotu, nie będę tu wymieniał wszystkich reform niezbędnych dziś dla szerokich warstw ludu w Galicyi, do przedmiotu tego wrócę zresztą w innych artykułach.

Narazie wskażę tylko na reformę wyborczą, administracyjną, oraz szkolną. Są one bardzo piękne i mogą być przeprowadzone w duchu demokratycznym wówczas tylko, kiedy polskie stronnictwa postępowe niezawahają się ostrą wypowiedzieć walkę konserwatystom i w wielu, a nawet w większości wypadków, pójść razem z Rusinami.

Na losach reformy wyborczej do sejmu widzieliśmy, jak ujemne skutki pociągnęło za sobą łączenie się wszystkich stronnictw polskich przeciwko rusińskim.

Tak zwany kompromis stronnictw polskich był właściwie abdykacyą przed konserwatystami. Jeżeli już nie można było uzyskać czteroprzymiotnikowego prawa wyborczego, jeżeli już kurye do czasu musiały jeszcze pozostać, to należało przynajmniej: 1) nie zwiększać liczby wirylistów; 2) niezaprowadzać w powszechnej kuryi miejskiej warunku dwuletniej osiadłości dla głosujących; 3) odrzucić żądanie wysokiego minimum kompletu posłów obecnych, niezbędnego dla zmiany ordynacyi wyborczej; 4) wreszcie usunąć pluralność z kuryi wiejskiej.

Oczywiście mowy być nie może o reformie administracyjnej, o połączeniu obszarów dworskich z gminami z usunięciem finansowych i innych przywilejów wielkich właścicieli — bez solidarnej akcyi posłów rusińskich z polskiemi stronnictwami demokratycznemi.

To samo da się powiedzieć o reformie szkolnictwa ludowego, o przekształceniu Rady szkolnej krajowej i t. p.

Wszystkie powyższe reformy są zresztą potrzebne zarówno dla Polaków jak i Rusinów.

Porozumienie się więc polsko-rusińskie jest konieczne dla stron obu, jest niezbędne dla całego kraju jako całości prawno-państwowej, posiadającej odrębną indywidualność polityczną.

Dotychczas mówiłem tylko o doniosłości porozumienia się pomiędzy Polakami a Rusinami w Galicyi; nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że posiada ono olbrzymie znaczenie dla obu narodów w państwie rosyjskim, w walce z centralizmem petersburskim, oraz w innych o wiele szerszych i dalej idących kombinacyach politycznych, które mogą się kiedyś zarysować na horyzoncie europejskim.

W interesie więc obu narodów należy, aby antagonizm polsko-rusiński usunąć, jeżeli już nie zupełnie, co jest z wielu względów trudne, to przynajmniej go zmniejszyć, a właściwie ograniczyć do pewnego minimum.

W artykule niniejszym ograniczę się do stosunków galicyjskich w dobie obecnej.

Ponieważ w Galicyi Polacy są dotychczas niezawodnie stroną silniejszą, ponieważ dawniej od Rusinów prowadzą świadomą politykę i dlatego są naogół od nich więcej wyrobieni w tej dziedzinie, więc z ich strony, pomimo ostrej walki ze stron obu, pomimo wzajemnych obelg — wyjść powinna inicyatywa do uregulowania wzajemnych stosunków.

W stosunkach prywatnych wolno się ociągać w walkach osobistych ze zgodą, wolno oczekiwać, aż druga strona ustąpi pierwsza; w stosunkach społeczno-politycznych, tak doniosłych dla ogółu, nie wolno być formalistą, nie ma się prawa dla jakiejś etykiety, albo dla fałszywego wstydu — odkładać ciągle usiłowania, mające na celu zbliżenie różnych narodów, niezbędne dla stron obu.

Uważałem za potrzebne wspomnieć o tem dlatego, że często czytać można w polskiej prasie, galicyjskiej zwłaszcza, że wszelkie próby zbliżenia się naszego do Rusinów są przedwczesne, że należy odłożyć je do czasu, aż się uspokoją, aż zmienią swój stosunek do nas. Pogląd powyższy jest wysoce naiwny, gdyż zapoznaje ten fakt niewątpliwy, że Rusini mają bardzo poważne powody do niezadowolenia z istniejącego stanu w Galicyi, i że dopóki on nie ulegnie zmianie, mowy być nie może o żadnem ich „uspokojeniu się“.

Nie mogę tu w jednym artykule wyczerpać kwestyi, nie mogę badać ani przeszłości ruchu rusińskiego, ani wszystkich jego odłamów. Z konieczności ograniczę się na przedstawieniu istoty dążeń Rusinów, oraz na wskazaniu na te reformy w stosunkach narodowościowych w Galicyi, któreby umożliwiły pokojowy rozwój obu narodów w tym kraju.

W społeczeństwie polskiem rozpowszechniony jest pogląd: że Rusini mają wszystko, co im tylko potrzeba, że nawet szkół ludowych i kościołów mają stosunkowo więcej, niż Polacy, że ilość gimnazyów, jaką posiadają, wystarcza im zupełnie, że uniwersytet jest dziś dla nich jeszcze zbyteczny i t. p.

Takie postawienie kwestyi jest z gruntu błędne. Przedewszystkiem Rusini nieraz już zbijali, nie

bez słuszności, większość powyższych wywodów, wykazując ich bezpodstawność. Nie o to jednak chodzi. Istotą dążeń Rusinów jest to: że chcą oni być gospodarzami w zakresie swoich spraw. To znaczy, że sami chcą decydować o swoich szkołach niższych i wyższych, o swoich katedrach uniwersyteckich, o swoich instytucyach i t. d. Dążenie to jest zupełnie zrozumiałe, słuszne i bynajmniej nie jest sprzeczne z interesami Narodu polskiego.

Każdy naród musi się tego domagać, jeżeli nie chce być niewolnikiem innego narodu. Rusini nie chcą rokrocznie wyżebrywać w sejmie od większości polskiej takich albo innych zasiłków dla swoich instytucyi, takiego albo innego gimnazyum. Nie chcą o każdą katedrę uniwersytecką staczać walk z Polakami. Oni chcą sami się rządzić.

Następnie Rusini są narodem nawskroś demokratycznym, muszą więc z konieczności prowadzić odpowiednią politykę, która naturalnie musi zwalczać konserwatywną większość sejmu galicyjskiego, do której zaliczyć należy i nacyonalistów polskich.

Tu właśnie leży punkt ciężkości ich dążeń. Polskie żywioły szczerze demokratyczne powinny uznać te dążenia Rusinów i pomóc do ich urzeczywistnienia.

Tymczasem w praktyce widzimy co innego. Z wyjątkiem socyalistów, aż do czasów ostatnich, żadne inne stronnictwo nie zadało sobie trudu zastanowić się nad powyższymi sprawami i wniknąć w istotę dążeń Rusinów.

Aby nie być gołosłownym, przytoczę tylko sprawę uniwersytetu rusińskiego, wreszcie żądanie posła Oleśnickiego, wypowiedziane w sejmie w 1909 r., polegające na tem, aby fundusze na cele kulturalne w Galicyi dzielić pomiędzy Polakami a Rusinami w stosunku 62 do 38. Żadne pismo polskie w Galicyi nie raczyło się zastanowić poważnie nad tem żądaniem. Założeniu zaś oddzielnego uniwersytetu rusińskiego Polacy do dziś dnia stawiają przeszkody w Wiedniu.

Przed kilku dniami poseł Kosť Lewicki sformułował w „Dile“ następujące postulaty na dziś, które pisma polskie przedrukowały z ironicznemi uwagami:

1) Danie Rusinom w sejmie 31% ogólnej liczby posłów; 2) nie zwiększanie liczby wirylistów; 3) podniesienie liczby posłów z kuryi wiejskiej do 84; 4) zniesienie petryfikacyi pod wszystkiemi postaciami; 5) zwiększenie liczby rusińskich członków Wydziału krajowego i wybieranie ich przez samych posłów rusińskich; 6) zniesienie pluralności w kuryi wiejskiej w nowym projekcie polskim reformy wyborczej; 7) Usunięcie żądania 2-letniej osiadłości dla wyborców w powszechnej kuryi miejskiej, i zastąpienie jej przez 6-cio miesięczną.

Przytoczyłem umyślnie te przykłady dlatego, że powtarza się u nas często frazesy: że z Rusinami nigdy nie będzie można dojść do porozumienia, ponieważ stawiają oni warunki nadzwyczaj wygórowane; albo że nic ich nie zadowoli, tylko wyrzucenie Polaków za San i t. p. Otóż fakty powyższe wykazują, że Rusini stawiają postulaty praktyczne, niezbyt nawet wygórowane, a w każdym razie takie, o których można dyskutować. Oczywiście, jak każdy naród, posiadają oni ideały odleglejsze, nie przeszkadza to im jednak liczyć się z rzeczywistością, wysuwać na dziś żądania stosunkowo umiarkowane.

Przypuśćmy jednak, że powyższe postulaty Rusinów, stawiane przez nich jako minimalne, mogą się komuś ze strony polskiej wydać wygórowanymi. To jeżeli tak jest nawet, to dlaczego tym żądaniom nie przeciwstawia się innych, dlaczego nie poddaje się ich dyskusyi, lecz zbywa tylko ironicznemi uwagami. Gdyby ze strony polskiej była dobra wola, gdyby istotnie chciano Rusinom zrobić pewne ustępstwa, to w odpowiedzi np. na projekt posła Oleśnickiego co do podziału funduszów na cele kulturalne powiedzianoby, że stosunek przez niego zalecany jest niesłuszny i przeciwstawionoby mu inny. Ale tego się nie robi, bo wogóle nie chce się Rusinów uniezależnić od siebie. Co do uniwersytetu rusińskiego, to czasami zwala się winę na Wiedeń, a czasami mówi się, że niema kandydatów odpowiednich.

A przecież i Rusini nie myślą o tem, „aby odrazu stworzyć cały uniwersytet“. Chodzi im o to tylko, aby na razie stworzyć jego zawiązek, ale i na to Polacy nie chcą się zgodzić.

Rząd austryacki nie jest rządem absolutnym i musi się liczyć z Kołem Polskiem, które intryguje przeciwko oddzielnemu uniwersytetowi rusińskiemu.

Ze strony polskiej można nieraz usłyszeć takie naiwne zdanie: „Rusinom możnaby wtedy zrobić ustępstwa jakieś, jeżeli odstąpiliby na zawsze od żądania podziału Galicyi“.

Otóż śmiesznie jest domagać się od kogoś, aby w imieniu wszystkich żyjących i przyszłych pokoleń abdykował z pewnych daleko idących pragnień. Zresztą taka abdykacya nie dawałaby żadnej gwarancyi na przyszłość.

Wyobraźmy sobie, że cesarz Wilhelm zwraca się do Polaków w zaborze pruskim ze słowami: „zniosę kolonizacyę niemiecką na ziemi waszej, zniosę prawo o wywłaszczaniu, równouprawnię Was z Niemcami, dam Wam szkolnictwo polskie — ale zapewnijcie mię, że ani Wy, ani Wasi potomkowie dążyć nie będą do autonomii Poznańskiego, Prus i Śląsku, a tembardziej do niepodległości Polski“. Coby można odpowiedzieć na taką mowę? Zaciekłość w obec Rusinów dochodzi u nas do tego, że np. niedawno p. Zdzisław Próchnicki, narodowy demokrata w Radzie miejskiej z oburzeniem napadł na tych, co nie widzieli żadnego niebezpieczeństwa w wejściu do tego zgromadzenia kilku Rusinów.

Przykładów podobnych mógłbym przytoczyć setki. Podobne zaślepienie uniemożliwia zupełnie trzeźwy pogląd na rzeczy w sprawie ruskiej w społeczeństwie naszem.

Prawda, że i ze strony Rusinów słyszymy głosy nacyonalistów pełne nienawiści, które grożą nam walką na śmierć i życie, które w malowaniu

czarnemi barwami rządów polskich w Galicyi dopuszczają się nietylko jaskrawej przesady, lecz nieraz nawet kłamstw świadomych. Jednakże, jak już zaznaczyłem wyżej, zapominać nie trzeba, że Rusini są stroną słabszą, że na ogół są mniej wyrobieni politycznie od nas, że wreszcie przez kilka wieków byli w zależności od Polaków nie tylko prawno-państwowej, lecz i socyalnej, że wszystko to razem urobić musiało odpowiednio ich psychologię. (Dok. nast.)



MARYA TURZYMA.

„OBCOKRAJOWCY"

Kiedy rugi pruskie wyrzucały przed kilkunastu laty prawnie Polaków z polskiej ziemi, jako „obcokrajowców", jeden krzyk zgrozy przeszedł po całej Polsce, a nawet poza jej granicami. Pruskie „ausrotten" stało się synonimem zdziczenia prawa — w bezprawie.

Tymczasem to samo „ausrotten", tylko przetłómaczone po polsku na „huzia", rozlega się po Galicyi ilekroć razy, wśród przybyszów z Królestwa, zajdzie jakieś zdarzenie, które zakłóci choć na chwilę słodką drzemkę galicyjskich polityków i poruszy oschłą bezwładność „spokojnych obywateli", zabawiających się w chwilach wolnych od walki o byt, polityką, a wyładowujących swój temperament w odgrażaniu się Prusakom i kiwaniu palcem w bucie na Rusinów.

Za każdem takiem zdarzeniem, wybucha przytłumiona tępotą codziennej troski niechęć, utajona na dnie każdej przeciętnej galicyjskiej duszy, do „obcokrajowców" z za kordonu i zwołuje na ratunek wszelkiej kategoryi sfory gończe, żeby wyścigać hen poza granice błogosławionej krainy lojalności i karyery wichrzycieli i zjadaczy stworzonego dla Galicyan chleba.

Wszak niedawne to jeszcze czasy, kiedy galicyjskie władze wydawały rosyjskiemu rządowi, na pewne ciężkie kary studentów z Królestwa, za urojone często winy, byle mieć pretekst do pozbycia się niespokojnych żywiołów! A przecież, jeżeli nawet winą wydawało się komukolwiek umiłowanie sprawiedliwości i wolności przez tych młodych marzycieli — to wiadomem było, że straszliwy los, jaki ich tam za rosyjską granicą spotkał, był stokroć gorszy, niż dola zbrodniarza i mordercy. Mimo to z wyjątkiem garstki jeszcze wówczas przedstawicieli partyi robotniczej, nikt się za nimi nie ujmował i nikt ich nie bronił, tych wydanych Rosyi Polaków.

I niedawne to czasy, kiedy na Politechnice lwowskiej ustanowiono wyjątkowe prawa dla „cudzoziemców", które miały na celu ograniczenie napływu, oczywiście nie Francuzów i Niemców, bo ci na politechnikę lwowską by nie przyjechali, tylko groźnych dla spokoju publicznego galicyjskich Polaków — Polaków z Królestwa.

I wczoraj to było prawie, kiedy napływowi Królewiaków, po przegranej rewolucyjnej bitwie, przypisywano wszystkie możliwe klęski, jakie kiedykolwiek spadły na Galicyę, począwszy od drożyzny i nędzy, a skończywszy na bandytyzmie i szpiegowskiej pladze.

Jest w starożytnych dziejach Grecyi zanotowane zdarzenie, że kiedy współobywatele skazali Arystydesa, jednego z swoich największych wodzów i mędrców, na banicyę przez ostracyzm, jeden z rzucających potępiającą skorupkę, wyznał naiwnie, że nie zna Arystydesa i nic o nim nie wie, ale nie może znieść tego, że go powszechnie nazywają „Sprawiedliwym", bo to go bardzo drażni.

Gdyby się znalazł równie szczery obywatel galicyjski, z pośród tych, co to uważają Królewiaków za jedną z największych klęsk swojej prowincyonalnej ojczyzny, musiałby jako powód swojej niechęci wskazać na umiłowanie wolności, jakie urodzeni na ziemi niewoli Polacy przynoszą ze sobą i w niezmordowanych dążeniach chcą zrealizować w czynie.

Wolno tutaj przecież śpiewać narodowe pieśni i w paradnych polskich strojach urządzać jubileusze. Wolno było spalić na rynku krakowskim portret jednego z sąsiednich władców, a drugiemu bardzo niemiłą, wrogą manifestacyę urządzić, przypieczętowawszy ją pomnikiem, świadczącym, że fortuna kołem się toczy. Można zostać posłem, marszałkiem, namiestnikiem, ministrem lub czemś podobnem takiem, każdemu, co ma trochę sprytu a dużo szczęścia — i wyładowywać swoje uczucia patryotyczne w obchodach narodowych lub sokolich — na śpiewająco-koziołkujący sposób. Czegóż więcej może pragnąć w konstytucyjnem państwie dusza zacnego i poważnego obywatela?

Żeby to państwo konstytucyjne było jego własnem państwem — o tem może przyśnić się sen tylko „obcemu poddanemu", z poza miedzy, który wie, że wszelkie łaski dane, mogą być odjęte — a pewne jest tylko to, co się zdobędzie samemu — zaś zdobywszy ma się siłę utrzymać w posiadaniu.

Straszne jest to, co się słyszy tutaj wciąż dookoła, mówione szeptem i głośno. Nie można się oprzeć żałości i przerażeniu prawie nad tą okropną rzeczą, że w pomyślniejszych stosunkach społecznych i politycznych żyjący bracia, zwracają się przeciw tułaczom i rozbitkom, których ta sama matka rodziła i zamiast wyciągnąć do nich ręce, wypytać ugościć i ostatnim kęsem chleba z nim się podzielić, zwołują sfory gończe i ujadaniem ich się radując, ścigają ich aż za bramę, hen na żebracze gościńce, gdzie zbójeckie na nich czatują zasadzki i czai się jak dziki zwierz — głodowa tęsknota.

Uwagi te gorzkie nasunęły nam wypadki w ostatnim semestrze pośród akademików z Królestwa, i stanowisko jakie wobec nich zajęły zgodnie — społeczeństwo i prasa — „patryotyczne", dodać należy.

Uwięziono kilku „Królewiaków", u których znaleziono browningi, mauzery — ba, telefony polowe i pionierskie przyrządy. Mały arsenał wojskowy.

Prasa zajęła stanowisko „objektywne“, przecież nie wiadomo co, gdzie i jak. Policya aresztowała, zabrała broń i inne przybory wojackie — ale wyjaśnień udzielić nie chciała. Więc prasa zamieszczała wszystkie wersye, jakie krążyły po świecie, — zostawiając do rozstrzygnięcia czytelnikom — czy ci młodzi ludzie z Królestwa są społecznymi lub narodowymi bojowcami jakiegoś rewolucyjnego odłamu — czy też są to prowokatorzy, szpiedzy lub pospolici złoczyńcy, bo i za temi przypuszczeniami przemawiały jakoby rozmaite poszlaki.

Tymczasem czytelnicy, zamiast domyśleć się i rozstrzygnąć, przelękli się okropnie. Cokolwiek jest — nie można pozwolić, żeby te „Królewiaki“ na nasz spokojny grunt przenosiły swoją zgubną, przewrotową działalność. Należy ich potępić zarówno czy są rewolucyonistami, bandytami lub szpiegami. Galicya nie może służyć za teren do tego rodzaju eksperymentów. Zgubili Królestwo, gdzie tak spokojnie można było żyć pod konstytucyjnym knutem a teraz chcą zgubić Galicyę.

Radzą poważni obywatele, między którymi nie brak miarodajnych posłów, jak Światowidy czterema obliczami patrzących na wszystkie strony. Jedną twarzą demokratyczną uśmiechają się do ludu, drugą narodową mrugają porozumiewająco na tych, co uciskają lud, a dwie inne trzymają martwo w pogotowiu do okoliczności, żeby odpowiednią zrobić minę. Kiwają głowami. Debatują.

Znowu ci Królewiacy. Głupstwo z tym procesem. Narobi się tylko niepotrzebnego hałasu, bo przecież ich nie zasądzą. Powinni ich odstawić do granicy — po cichu, bez rozgłosu, nieznacznie. Po jednemu, dwóch naraz, żeby nikt nie zauważył. No, oczywiście, Rosyi wydać ich trudno — ale do pruskiej granicy... to jest może do węgierskiej. Zresztą gdzie sami zechcą. A jeżeli oni nie zechcą — tak bez sądu. Jakto bez sądu? Brauningi, mauzery, w wolnem państwie! To jeszcze sądu trzeba? My nie możemy na to pozwolić, żeby „obcokrajowcy“ nas gubili. Nie możemy dać zniszczyć to, na cośmy tak długo pracowali. Bo oni tylko niszczą. Nie budują nic. Niepodległość? Przecież tej mrzonki nikt już na seryo nie bierze. Sprowadzili już jedno nieszczęście na kraj. Zbojkotowali szkołę. A przecież lepsza zła szkoła jak żadna. Teraz u siebie stracili grunt pod nogami, to przychodzą nam tu podrywać fundamenta stawiane z takim mozołem i t. d. i t. d.

Przysłuchują się temu poważne matrony, patryotki, społecznice polskie, „uświadomione“ obywatelki. Dyskutują głośno, namiętnie.

Strach ilu naaresztowali — stu czy dwudziestu. Co też z nimi zrobią. Pewnie wydadzą Rosyi. Ta pewnie. To ich tam powieszą. A czemu nie siedzą spokojnie. Tu rewolucyę robić. W Galicyi? Zresztą to pewnie bandyty. Nawet w gazetach pisali, że to szpiegi. A jeden nawet podobno coś ukradł. Okropność. Całkiem naszych synów zepsują. Nie dość im chleb wydzierają od ust, to jeszcze jakie nieszczęście na cały kraj ściągną, te obce przybysze. Słusznie, że ich tak wszyscy niecierpią. Bo ich strasznie nie lubią, tych Królewiaków.

A może oni chcą budować Polskę? Polskę budować? Przecież w powstanie już chyba nikt nie uwierzy. Pracować, dorabiać się — to znaczy Polskę budować. Ale brauningi, mauzery, to tylko nieszczęście i zguba dla kraju.

Nareszcie ucichło. Same sądy i rządowe sfery uznały, że nie można tych młodych zapaleńców traktować jak zwykłych zbrodniarzy, że należy zrozumieć pobudki ich działania i jakoś ich wyratować z tej toni, w którą rzucili się jak rycerze w nurt spienionej rzeki, w pościgu za wrogiem.

Nagle wybucha nowa burza. Na nieobsadzoną katedrę socyologii wprowadzają klerykali księdza-agitatora — bez kwalifikacyi naukowych, za to osławionego autorstwem frywolnej książki, złożone z dziennikarskich felietonów.

Młodzi postępowcy protestują. Zrywa się panika, z powodu „świętokradztwa“ nietykalnej sutanny. Na protestujących sypią się kary. Kontrybucye drogą administracyjną. Zupełnie jakby ochrana ferowała wyroki. Cała młodzież występuje solidarnie w obronie pokrzywdzonych. Rozszalała reakcya wzywa całe oddziały policyi — pułki wojska z ostremi ładunkami ustawia naprzeciw broniących wolności wiedzy i ciężko pokrzywdzonych kolegów, słuchaczów uniwersytetu.

Wreszcie zawiesza się uniwersyteckie wykłady — politechnikom masowe wytacza się śledztwo. Nauka przerwana, wzajemne rozdrażnienie rośnie, a jeden krok nietaktowny z jednej lnb drugiej strony może na miesiące i lata zdezorganizować poważną naukę, wykoleić życiowo najdzielniejszych i najlepszych ludzi.

I znowu podnosi się głos oskarżenia na Królewiaków — że to oni są wiechrzycielami, którzy nie dopuszczają, żeby młodzież galicyjską tresowano jak przystało na klerykalno-demokratyczną modłę, aby z nich zrobić powolne narzędzia duchownych i świeckich władz.

Klerykalne sfery uniwersyteckie nie ukrywają wcale swojej do Królewiaków niechęci i zupełnie jawnie grożą rozmaitymi środkami ochronnymi, żeby ograniczyć dostęp „obcokrajowców“ do wyższych zakładów naukowych a przyjętych rozlicznemi obostrzeniami ubezwładnić i skrępować,

Cała prasa konserwatywna nie wyłączając rozmaitych pism niby demokratycznych jak „Nowa Reforma“ — „Słowo polskie“ i t. p. zupełnie szczerze denuncyuje „szlachetnie“ Królewiaków jako moralnych sprawców tego całego potężnego protestu przeciw zamienianiu katedry naukowej na agitatorską mownicę polityczną.

Inni u dołu i u góry, w kawiarniach i salonach, na ulicy i w kościele, mówią to samo i kończą tak samo, a nad wyrzuconymi ze swoich gniazd chłopakami zbiera się chmura niechęci, podejrzeń i złowrogiej zawiści, podnosi się fala egoizmu małostkowego, widzącego tylko korzyść najbliższej godziny i dzisiejszego dnia, i spieniona zwraca się przeciw tym „przybyszom“ zakłucającym spokój bezwładny ospałych dusz.

Zdarzało się ponoś w bajkach często a w życiu jeszcze częściej, że wygnane z domu ojczystego sieroty, powracały po latach do swego gniazda i tam wyszczuto ich psami jak włóczęgów niebezpiecznych i natrętnych.

A może to zatracone przed ośmdziesięciu laty zastępy polskiego wojska powracają wskrzeszone cudem na swoją ziemię, żeby ją odzyskać na nowo?

A może to podziemnych rycerzy, którzy według tatrzańskiej legendy mają zbudzić się pewnego dnia, by Polskę wybudować nową—pierwsze szeregi?

Czy to po polsku brzmi ten szept: „W odzyskanie niepodległości nie wierzy nikt. Nie damy się uwieść marzeniami o odzyskaniu demokratycznej wolnej Polski. Chcemy pokoju i nie damy się złudzić mrzonkami przewrotowemi. Nie pozwolimy się sprowokować. Nie chcemy podziemnego wojska. Nie pozwolimy budzić śpiących rycerzy. A na tych „obcokrajowców“, którzy przychodzą tutaj zakłócać nam spokój na naszych śmieciach — choćby to byli najprawowitsi dziedzice, mamy wiernych stróżów spokoju publicznego.

Huzia!“

Dr. ALEKSANDER LISIEWICZ.

BUDŻET MIASTA LWOWA.

III.

W jak szybkiem tempie poszedł rozwój miasta w ciągu epoki, o której poprzednio wspomniałem, wystarczy przytoczenie kilku zasadniczych cyfr budżetu tegorocznego. Miasto utrzymuje obecnie 38 szkół męskich i żeńskich różnego typu, a budżet rozchodów funduszu szkolnego preliminowano obecnie na kwotę 2,139.493 koron, podczas gdy jeszcze przed dziesięciu laty rubryka wydatków na oświatę publiczną nie dosięgała miliona koron, a w pamiętnym roku 1849, jak już nadmieniłem, cały wydatek na szkoły wynosił 7.000 zł. m. k.!

Wydatek na drogi, bruki i chodniki wzrósł już do kwoty 583.144 kor., a samo utrzymanie (nieosobliwej zresztą jeszcze) czystości w mieście kosztuje teraz 459.437 K. (w roku 1901 tylko 226.082 K.) i przybywa jeszcze wydatek na przybory i materyały do robót publicznych, który w dziesięciu ostatnich latach z kwoty 11.136 K. urósł do sumy 99.087 K.

Oświetlenie miasta elektrycznemi lampami na głównym prospekcie od teatru do Bernardynów, 3.800 lampami gazowemi po całem mieście i 300 lampami naftowemi na odległych punktach przedmiejskich kosztuje 300.000 koron (ściśle 268.560 K.).

Wydatki na dobroczynność przekroczyły już kwotę pół miliona koron, policya sanitarna kosztuje ćwierć miliona, miejscowa przeszło 150.000, ogniowa przeszło 130.000, a wreszcie targowa okrągło 90.000 K.

Porównanie z cyframi z przed lat dziesięciu wskazuje wszędzie wzrost silny, nieraz podwojenie lub potrojenie wydatków.

Naturalnie wzrosły także koszta administracyi centralnej. W tegorocznym budżecie płace urzędników obliczono na 895.302 K. pomocników urzędowych na 181.590 K., płace i żołdy służby na 423.361 K. razem tedy na 1,500.253 koron, a niezależnie od tego idą jeszcze wydatki na pensye emerytów, wdów i sierot i dary z łaski, co także dosięga już poważnej kwoty ćwierć miliona koron.

Wreszcie odsetki od długów wynoszą 1 mil. 306.000, a raty na umorzenie kapitałów biernych kwotę 292.995 K., razem przeto sama spłata zobowiązań miasta wymaga przeszło półtoramilionowego wydatku rocznie. Jakże wymowną jest ta cyfra w porównaniu z pierwszym choćby budżetem epoki samorządu (1871), kiedy suma wszystkich w ogóle wydatków miasta nie przekraczała tej jednej obecnie pozycyi!

A teraz dochody. Na pokrycie całego przeszło ośmiomilionowego wydatku ma miasto przedewszystkiem dawne, chociaż od szeregu lat już stosunkowo rozszerzone i zmienione źródła dochodów.

Przedewszystkiem są podatki gminne (podatek od psów, podatek czynszowy i dodatki do podatków rządowych), które w tym roku mają przynieść razem 2,223.000 K.

Nadto osobno preliminowany jest nowy podatek na cele dobroczynne (opłata od widowisk), który razem z grzywnami pieniężnemi na rzecz ubogich przyniesie 150.000 (154.600) K.

Dochody z opłat konsumcyjnych i akcyzy, razem z mytem drogowem (to ostatnie wzrosło już także do kwoty 400.000 K.) stanowią drugie najpoważniejsze z dawnych źródeł dochodowych i przynoszą obecnie również przeszło dwa miliony koron. To drugie źródło jednak nie rośnie tak stale i konsekwentnie, jak pierwsze, podlega pewnym kaprysom, zależnie od ruchu budowlanego i przemysłowego, podczas gdy pierwsze skutkiem ogromnego rozwoju miasta w ciągu ostatniego dziesięciolecia, wzrosło w dwójnasób i dalej tendencyę zwyżkową objawia.

Wreszcie trzeciem i obecnie najbardziej interesującem źródłem przychodów miasta są dochody z przedsiębiorstw i zakładów miasta.

Czysty dochód z tego źródła doszedł w budżecie na rok 1911 do poważnej cyfry 1,679.915 K., powiększył się w ciągu dziesięciolecia w dwójnasób, a niezależnie od tego zakłady te (wodociągi, rzeźnia, gazownia, kolej elektryczna) same pokrywają amortyzacyę i oprocentowanie około 30 milionów kapitału tam włożonego!

Oprócz tego jest jeszcze dochód z gruntów i budynków (przeszło 150.000 K.) opłaty kwaterunkowe i kanałowe (około 350.000 K.) zwroty wydatków rzeczywistych na zarząd centralny itp. (przeszło 880 tysięcy), odsetki od kapitałów i inne drobniejsze przychody, które właściwie nie mają poważniejszego znaczenia.

* * *

Zestawienie tych najważniejszych cyfr budżetu gminy w przychodach i rozchodach poucza uważnego czytelnika, jaką drogę rozwoju przebyło miasto od chwili pierwszych przebłysków samorządu z roku 1848, a następnie od czasu rzeczywistych rządów własnych, zdobytych na podstawie statutu miejskiego z roku 1870.

W czasie tych rządów własnych powolnie ale statecznie wysuwała się przed oczyma konieczność rozszerzenia ram samorządu i zdobycia na nie stosownych środków.

Epoka pierwsza, rozglądania się wśród spuścizny pozostawionej przez obce rządy, była jednak epoką patryarchalną, wielkiej skromności i wielkiego lęku przed wszystkiemi nowinkami. Było także zadowolenie ze zdobytego samorządu i dla tego wszelkie próby postąpienia o krok naprzód spotykały się z nieufnością, a sprawa głębszej krytyki gospodarczej i planu szerszego nie budziła ani zainteresowania ani uznania.

Epoka druga sprowadziła dopiero zmiany istotne.

Ustąpiły dawne straszaki, nowe poglądy zyskały przynajmniej na chwilę — najgorętszych zwolenników w tych właśnie, którzy poprzednio je zwalczali.

Momentem zwrotnym, który przyśpieszył sprawę zaciągnięcia pożyczki inwestycyjnej, a tem samem spowodował doraźne zmiany w dawnych

zapatrywaniach na gospodarkę miejską była wystawa krajowa z r. 1894. Miasto chciało wystąpić godnie, okazale, musiało zresztą przygotować i drogi i środki komunikacyjne dla wystawy, musiało także pomyśleć o całym szeregu ulepszeń administracyjnych, musiało wreszcie zaspokoić cały szereg doraźnych długów i niedoborów. Temu momentowi, a zarazem niezwykłej energii, jaką podówczas rozwinął jeden z twórców wystawy a zarazem ówczesny wiceprezydent miasta Dr. Zdzisław Marchwicki, człowiek pokroju prawdziwie europejskiego, zawdzięcza Lwów przełom w poprzedniej patryarchalnej gospodarce i zwrot ku wielkomiastowemu rozwojowi.

W owym to momencie powstała kolej elektryczna, która z biegiem czasu właściwie umożliwiła rozwój przedmieść i podniosła naprawdę ruch budowlany w całem mieście, z owego też czasu i z twórczej myśli tego okresu kościuszkowskiej wystawy pochodzą wszystkie prawie nowoczesne urządzenia miejskie.

Kilkanaście lat minęło od tej chwili, a miasto, pchnięte raz na nową drogę, siłą konieczności, czasem może bezwładności, musiało kroczyć i idzie dalej szlakiem, na który wówczas wstąpiło.

Niestety kierownictwo miasta przeszło następnie w ręce nie bardzo ku temu powołane. Popełniono cały szereg błędów i przekroczeń finansowych przy wykonaniu rozpoczętych wielkich urządzeń miejskich, a zapomniano zupełnie o szybkiem dostrojeniu administracyi miasta do zmienionych z gruntu warunków.

To też na całej najnowszej epoce, tak pięknie rozpoczętej, ciąży jak zmora, w duszy tych, którzy naprawdę znają jądro wszystkich spraw miejskich, niepokojąca myśl, że gospodarka miejska nie idzie naprawdę po zdrowej linii rozwoju.

Świadoma wola wytworzyła mu nowe warunki bytu i dała nowe podstawy istnienia, ale kierownictwo zarządu miasta nie dostroiło się zupełnie do potrzeb nowoczesnego miasta, administracya jego podpada ciągle słusznej i uzasadnionej krytyce, a rada miasta w obecnym swym ustroju nie spełnia, a nawet nie może należycie spełniać przysługującego jej prawa kontroli nad gospodarką.

Zarzuty te nie są zarzutami ani jednostki, ani też tej lub owej chwili, lecz są zarzutami stałymi, od dziesięciu chyba lat stale podczas rozpraw budżetowych zarówno przez generalnych sprawozdawców jak i przez poszczególnych mowców podnoszonymi.

Forma tych zarzutów bywa najrozmaitsza, hamowana nieraz względami na dobro miasta, ażeby nie poderwać jego dobrej sławy i kredytu, ale konsekwentne podtrzymywanie tych zarzutów ze strony najpoważniejszych i najstarszych członków rady miejskiej, powinno było już dawno zwrócić uwagę szczerych przyjaciół samorządu, że uzdrowienie tych stosunków jest konieczne.

Niestety przy ocenianiu tych zarzutów i stawianiu jakiegokolwiek programu działalności na przyszłość trzeba się liczyć z kilku momentami istotnymi, które dotychczas na losy miasta wywierają wpływ stanowczy.

Przedewszystkiem miasto Lwów jest miastem z natury pięknem, a przeobrażenie go w miasto nowożytne dało mu cały szereg urządzeń i udogodnień, poprzednio nieznanych. Chociaż to są rzeczy całkiem naturalne, bez których człowiek kulturalny nowoczesnej epoki istnienia sobie już nawet nie wyobraża, gdziekolwiekby się znajdował, ogół mieszkańców, których te rzeczy zaskoczyły poniekąd i który po dziś dzień o miedzę jescze widzi stan rzeczy bardzo pierwotny, jest stanowczo z przeobrażenia miasta zadowolony. To zadowolenie wprawdzie nie tamuje nieraz głosu krytyki, ale głos ten zabijany jest w mig odpowiedzią, wskazującą na zdobycze osiągnięte w latach ostatnich. Nie od razu Kraków zbudowano, macie tramwaj, wodę, światło, łazienki, nowy wspaniały teatr, muzeum, galeryę etc. etc., miliony poszły, wydatki wzrosły, podatki poszły w górę, — krok dalej, a trzeba będzie znowu podnieść podatki i t. d. w kółko, musicie teraz zaczekać, nastąpią reformy i reorganizacye wewnętrzne i wszystko pójdzie dobrze.

Tu głos krytyki milknie, bo sama myśl możliwego podniesienia podatków przeciętnemu obywatelowi biednej Galicyi mrozi krew w żyłach.

Po za tem trzeba się liczyć z faktem, że od chwili gwałtownego rozrostu miasta, jego urządzeń i budżetu, kierownictwo miasta, mając w swem ręku i administracyę codzienną, wymagającą wielkiego nakładu sił i pracy, i zarząd milionowemi dziełami inwestycyjnemi, zostało po prostu zawalone potokiem cyfr, spraw, żądań i potrzeb.

Rozpoznać się w tem wszystkiem, znaleść czas na wszystko, — na to potrzeba i sił i energii i umysłu po prostu niepospolitego.

Gdyby rzeczy były spokojnie przemyślane, przygotowane i z góry należycie urządzone, nie byłoby żadnego nieszczęścia. Ale nacisk od dołu, ażeby w interesie ogółu zdobyte miliony jak najrychlej puścić w ruch, optymizm nieznany nigdzie na zachodzie, ażeby zamiast trzymać się ścisłego kosztorysu, zmieniać w czasie wykonania i rzeczy dobre poprawiać na czemraz niby lepsze a właściwie kosztowniejsze, bez względu na siły i program finansowy miasta, — te momenty wywierają wpływ rozstrzygający na uchwały zarządu i na działalność wykonywanych organów, a naczelne kierownictwo miasta, od kiedy pamięć nasza sięga, mimo frazesów na ustach nie miało nigdy siły oparcia się tym nienaturalnym i szkodliwym prądom, pomysłom, i bardzo często także, dorywczo a może nawet czasem zupełnie bez przygotowania, powziętym uchwałom.

Do tego wszystkiego przyłącza się moment niewątpliwie istniejący, że miasto Lwów jako gmina ma swój z dawnych czasów i nadań królewskich istniejący jeszcze poważny majątek w dobrach, lasach i gruntach, że dalej jego uprawnienia podatkowe w stosunku do innych miast w Galicyi i także w stosunku do innych miast w państwie austryackiem wcale nie są wyczerpane, ani też nie przedstawiają się niekorzystnie, że wreszcie ze względów słuszności lub też ze względów politycznych miastu zarówno w kraju, jak i od państwa niejednoby się należało.

Wszystko to składa się na zupełnie fałszywą ocenę głosów krytyki zarówno gospodarki miasta, jak i przedstawionych do uchwały budżetów.

Tu zaczyna się przepaść między istotą rzeczy a pojęciami.

Miasto weszło na drogi nowoczesne a zarówno kierownictwo, jak i budżet jego widziany i załatwiany jest pod kątem widzenia czasów epoki poprzedniej, poniekąd patryarchalnej. Taką także w przeważnej części jest i gospodarka.

Od roku 1900 do chwili obecnej kolejno byli sprawozdawcami generalnymi budżetu miasta Dr. Stanisław Głąbiński, Dr. Tadeusz Rutowski, Dr. Aleksander Lisiewicz (piszący te słowa) i obecny referent Dr. Wład. Stesłowicz. Wszyscy w tej lub owej formie, oceniając krytycznie budżet, podnosili prawie takie same zarzuty przeciw gospodarce i wszyscy przemawiali za koniecznością reformy administracyi.

Niestety głosy te nie zostały dotychczas wysłuchane, a żadne znaki na niebie nie wskazują na to, żeby ich w najbliższej przyszłości wysłuchano.

To też chociaż cieszyć się należy, że miasto tak wzrosło i podniosło się, a budżet jego tak zolbrzymiał w epoce samorządu, nie można uderzyć w tę samą nutę radości, mówiąc o społecznej gospodarce miasta i o kierownictwie samorządnemi sprawami miasta.



NEGO.

Z POD PIÓRA.

Byliśmy przekonani, że w szeregu artykułów p. t. „Skandal Rapperswilski“ wyczerpaliśmy dostatecznie sprawę. Okazuje się, że nie, że Rapperswil jest wprost niewyczerpalną kopalnią pod tym względem.

Otrzymujemy trzydziesto-stronnicową broszurkę p. t. „Sprawa Rapperswilska“ z głosami Stefana Żeromskiego, Dr. Feliksa Kopery, p. Władysława Kłyszewskiego, opatrzoną wstępem p. Stanisława Szpotańskiego — ludzi sławnych, kompetentnych, poważnych i wiarygodnych, pozostających teraz lub dawniej w bezpośrednim kontakcie z instytucyą.

Czytając broszurkę ma się chwilami wrażenie, że jest to osnuta na nieprawdopodobieństwie humoreska Marka Twaina, lub jaskrawie dobrane przykłady na objaśnienia wyrazów niepoczytalności i wandalizmu. Podczas tej lektury przestajemy się oburzać na żołdactwo moskiewskie, które pakując bibliotekę Załuskich, obcinało książki nie mieszczące się w skrzyniach, czyniła to bowiem ciemna dzicz, rabusie Polski — tu zaś dzieła zniszczenia dokonują rodacy powołani do opieki nad instytucyą narodową, jedyną ekspozyturą kultury naszej za granicą, gospodarują tak w gmachu, gdzie leży serce Kościuszki i setki ze wszystkich stron Polski nadsyłanych drogocennych, jedynych może pamiątek sławnej i krwawej przeszłości.

Z czternastu ściśle sformułowanych jak akt oskarżenia punktów Żeromskiego, dowiadujemy się o losach sztychów Antoniego Oleszczyńskiego: „Na pierwszej karcie tej księgi była przez artystę wypisana gorąca prośba do człowieka, który tę księgę będzie miał w ręku, ażeby jej nie oglądał, jeśli go ta sprawa nie zajmuje, ażeby kart nie zaginał, palca do przewracania nie ślinił i nic w tym zbiorze nie przeinaczał“.

I oto znaleziono ją na strychu w stanie okropnym: „była przygnieciona pakami z lakierem i smarami w taki sposób, że się rozpłaszczyła w poprzek i raz na zawsze przełamała, a w głąb jej prześlicznych kart brystolowych wypieszczonych przez artystę, lała się kaskada zastygłego lakieru, czy smarów p. Kustosza“.

Dowiadujemy się, jak w chwili, kiedy został wyasygnowany przez Henryka Bukowskiego fundusz do uporządkowania olbrzymiego zbioru wycinków Leonarda Chodźki z gazet francuskich, niemieckich, angielskich i włoskich od roku 1825—1870 i sprowadzeni w tym celu studenci z Zurichu — z rozporządzenia kustosza z wysokości trzeciego piętra w błoto podwórza szwajcarscy robotnicy łopatami wyrzucali te nieocenione źródła do badań, zamieniając wszystko w kupę strzępów i mierzwy, jak elzewiry służyły p. kustoszowi za cel do strzałów z pistoletu, akwarela Gierymskiego za podkładkę pod oleodruk, marginesy najrzadszych sztychów za notatnik do bezmyślnych uwag, jak jedyny żywy model maszyny do liczenia oryginalnego wynalazku emigranta Baranowskiego został przez knstosza rozebrany i na nic zepsuty.

Rzecz cenne walają się po kątach, a na widok publiczny wystawione są ordynarne fabrykaty kustosza: mundury polskie z guzikami pocztylionów szwajcarskich, figura Bartosza Głowackiego w epoletach francuskich, z pistoletami tulskiej fabryki i tasakiem rosyjskiego żołnierza u boku, fajki Batorego, tabakierka Wita Stwosza, ciupaga zakopiańska jako laska Kościuszki, która dopiero po usilnych debatach zostaje usunięta, by zjawić się w innem miejscu, zdegradowana na laskę Wincentego Pola.

Przez wycieranie napisów na przedmiotach, fałszowanie kartek, kłamliwe pozycye w inwentarzu, w Muzeum panuje taki chaos, że trzeba będzie istnie benedyktyńskiej pracy i długich dochodzeń, by doprowadzić wszystko do porządku.

To też p. Kopera stwierdza kategorycznie: „że nietylko naród z tego Muzeum dumny być nie może, ale przeciwnie, że Muzeum to kompromituje i to niesłusznie. Zwiedzający Rapperswil turysta, nabiera fałszywego i niepochlebnego wyobrażenia o naszej kulturze. Wogóle nietylko tej instytucyi nieuctwo, brak pietyzmu, brak najprymitywniejszej kultury artystycznej, ale wprost wandalizm powinny zmusić zarząd Muzeum, aby natychmiast instytucyę tą zamknąć kazał i dopiero, odpowiednio przez fachowe siły urządzoną pod kontrolą rzeczoznawców, otworzył.“

Czy ten apel co wskóra — jest rzeczą więcej niż wątpliwą. W Rapperswilu bowiem panują takie zwyczaje, że gdy np. pomocnik kustosza p. K. B. wykrywa, że portyer przez sprzedaż zużytych biletów okrada instytucyę na kilkanaście koron dziennie,

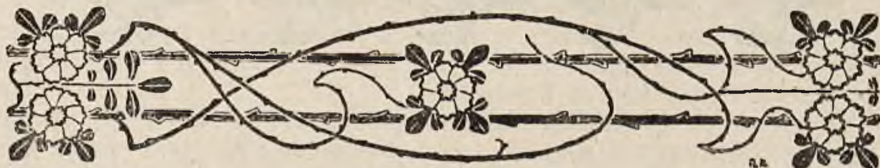
otrzymuje dymisyę nie złodziej, ale urzędnik, który nadużycie wykrył.

Głos dr. Henryka Dobrzyckiego z przed siedemnastu laty: „nie pozwólcie na taką gospodarkę“, nie wywarł najmniejszego skutku i szczęściem p. Dobrzyckiego jest, iż nie był człowiekiem zależnym od zarządu, zostałby niewątpliwie usunięty, jak byli usuwani wszyscy bibliotekarze, a ostatnio p. Karczewski, skoro starali się przeciwdziałać niepoczytalnym czynom przyjaciela p. Gałęzowskiego kustosza Muzeum, p. Rużyckiego. Gdy taki człowiek jak TT. Jeż, kontroler z urzędu, oznajmia na plenarnem posiedzeniu, że dyrektor de facto p. Rużycki, sobowtór dyrektora de nomine, p. Gałęzowskiego, jest „niechluję zapaskudzającą Muzeum“, zgroza ogarnia sławetne zgromadzenie, które w odpowiedzi urządza uroczystą manifestacyę na cześć niechlujstwa.

Zdaje się, że wobec takiego stanu rzeczy nie podobna poprzestawać na artykułach i broszurach, ale trzeba się chwycić bardziej radykalnych środków.

W Krakowie organizuje się komitet do ratowania Rapperswilu, podobny komitet ma się zawiązać również we Lwowie, by przypuścić gwałtowny szturm do dotychczasowych władz zaprzepaszczających instytucyę.

P. Rużycki musi ustąpić, oraz p. Gałęzowski, który na wszystkie krzyczące zarzuty ma jedyną odpowiedź: „kustosz jest moim przyjacielem i będę go bronił do śmierci“. P. Gałęzowski uważa to za swój obowiązek, niech się więc nie dziwi, jeśli społeczeństwo w poczuciu s w e g o o b o w i ą z k u z równą zawziętością zechce bronić narodowego dobra, choćby nawet wypadło się uciec do interwencyi władz szwajcarskich. Jest to ostateczność, przed którą jednak, gdyby wszystkie sposoby zawiodły — cofać się nie należy.



SPRAWOZDANIA.

(K. Hartl.) R o b e r t S a i t s c h i k. L u d z i e i s z t u k a w ł o s k i e g o O d r o d z e n i a. Przekład z upoważnienia autora Maryi Krzeczowskiej. Kraków — Warszawa 1911. Str. 309.

W badaniach nad renesansem włoskim, stanowiącym odbicie pełne epoki całej tem mianem darzonej, rozlewającej się siłą koniecznego rozwoju na kraje dalsze, rok 1850 stanowi granicę epokową.

Dwaj uczeni, każdy z innego naświetlając ją stanowiska, torowali drogę przyszłym badaniom. Jeden literat Voigt po tworach literackich dążący do poznania ludzi. Drugi Burckhardt, historyk kultury. Wcielał on w siebie całą spuściznę renesansu, „dał ją nowożytnemu światu“. Jeśli o istotę chodzi, ujęcie całości lub szczegółów rozprowadzenia względnie postawienia danej epoki w innem świetle, od lat tych dawnych nie wiele posunęło się naprzód.

Powstała cała plejada krytyków Burckhardta, głosząca wbrew nauce mistrza — konieczność łączności średniowiecza i epoki renesansu. Apologetą średniowiecza staje się Thode z swą monografią o św. Franciszku z Assyżu; bliski jego poglądom Gebhardt, wreszcie w czasach ostatnich Neumann genezę renesansu cofający aż do kultury bizantyńskiej. Mimo jednak ich zastrzeżeń co do znaczenia i oddziaływania starożytności na urabianie się czasów nowych i stawianie tezy iż rozkwit humanizmu bez jej oddziaływania doszedłby do stadyów znacznych — poglądy Burckharda ostały się do czasów ostatnich.

Autorem aprobującym po części to stanowisko, po części chylącym się do strony przeciwnej jest prof. zurychski Robert Saitschick, pragnąc w swej książce dać psychologiczny obraz ludzi i sztuki Odrodzenia włoskiego. — Stąd w przeprowadzeniu podaje to, co dana epoka miała najświetniejszego, w czem jej rysy uwidocznić się mogły najdokładniej — obok kreślenia rysów ogólnej natury: jak Humanizm, Platonizm, znajdujemy charakterystyki poszczególnych osobistości, których działalność tak bardzo na szali rozwoju epoki zaważyła. W sumarycznych objawach epoki Odrodzenia widzi on tylko spotęgowanie życia duchowego i artystycznego wieków poprzednich. Już od czasów chrześcijaństwa szło to „fermentowanie ras i szczepów“ pogłębiając życie psychiczne. Elementy kształtujące to życie, jak np. odrodzenie starożytności rozwijało się już w wiekach średnich — obecnie zajęło jeno stanowisko dominujące. Jeden z momentów w postaci wspomnienia minionej wielkości Romy nurtował jeszcze w XIII. i XIV. w. uosobiony w postaci Cola Rienci. Szeregi objawów jak wzrost mieszczaństwa; życie towarzyskie — to wszystko istniało w dużej mierze w średniowieczu; w konkluzyi... „Odrodzenie nie było zatem bezpośredniem, nagłem zjawiskiem kulturalnem; w średniowieczu istnieli ludzie o charakterze renesansowym“. Cechą znamienną zdaniem autora — tych czasów: pierwotność w całej pełni przejawów.

Dwaj ludzie stoją jako przejście, graniczne słupy nowej epoki: Petrarka i Boccacio. Wbrew czasem własnym tezom widzi u nich autor przebudzenie się indywidualnego odczuwania i myślenia; rodzi się tak znamienne podówczas rozdwojenie psychiki. Przebija z nich ten pęd poznawania świata z zdolnością dostosowywania się do różnych warunków, z koniecznością pełnej jednak niezależności.

„Mogłoby się wydawać — pisze Petrarka do Boccacia, — że ja żyłem z książętami, w rzeczywistości książęta żyli ze mną“...

Wpatrzony w głębię własnych przeżyć i uczuć, analizuje je, obserwując dokładnie rozwija intellekt; rozszerza własny światopogląd wychodząc po za ramy, jakie mu kreśliło średniowiecze. Świadom tych cech wszystkich mieni się arystokratą swej epoki w najlepszem tego słowa znaczeniu. Podkreślenie szersze wymienionych cech, obok samej charakterystyki pierwszego człowieka prawdziwie nowożytnego — ujawnia równocześnie sposob podania jej przez autora.

Wychodząc z założenia słusznego, iż poszczególne typy, jako odbicie nurtujących prądów i haseł najlepiej je nam uwidocznią podaje nam Saitschik szereg osobistości z pewnemi specyficznie sobie właściwemi cechami. Boccaccio z naturą otwartą i szczerą, z głębokiem pojęciem zadania poety, jako artysty, nauczyciela głoszącego prawdę życiową, pominiętą przez autora ową „lascivité“ tak znamienną jemu.

Vittorino de Feltre pedagog znamienity, własną pracę pokonywaniem natury dochodzący do sharmonizowania hnmanizmu z chrześcijaństwem. Choć piórem nie władał, to naśladowców pozostawił mnogo. — W dziedzinie literatury jako wybitny przedstawiciel Quatrocenta staje Poggio, doskonały znawca starożytności, nie mniej dobry szermierz pióra, którem wojował bezwzględnie. O ile świat i życie brał tak, jak mu się one przedstawiały, nie dziw, iż dał się unieść dowcipowi gryzącemu. W osobie Pica de Mirandoli skupił się typ filozofa czasów Odrodzenia najwybitniejszego. W nim odzwierciedlał się ten przełom od bujnej młodości do kontemplacyi, równoważącej pogody życia do głęboko filozoficznie ujętej religijności.

Z rodu Medyceuszów duchem najmożniejszy Lorenzo zebrał w sobie cechy dyplomaty doskonałego, idącego w zawody z książęty sobie współczesnymi, — u siebie umiejętnie władającego tłumem. Ciągłem kształceniem po-

znawaniem dzieł starożytnych urabiał wytworny estetyzm literacki widoczny w całej jego twórczości. Tym sposobem urabiał typ władcy, jakim się mogło szczycić Quinquecento, stawiając go wzorem monarchom współczesnym. — Wśród tych ludzi wchłaniających w siebie wszystkie zalety a zarazem wady epoki pojawi się rzecznik oppozycyi, któremu znikomość bytu jaśniała wyraźniej po nad życie, gwar i uciechy, który widząc rozbieżność między rzeczywistością, a cnotą idealną, stawał się antytezą obecnego rozwoju. W zakonnym habicie rzucał Savonarolla klątwy na Odrodzenie i jego przedstawicieli — porywał tłumy zawładnął miastem — ale i sam wnet uległ fatum, które właśnie płynęło z niezrozumienia rzeczywistości. Te postaci przesunął nam autor na podłożu współczesnych „walk i namiętności“ obok szczerego „pielęgnowania sztuki“, rozwoju „obyczajów“ (rozdziały kreślące ogólne tło wraz z faktami tam podanymi najmniej może oryginalne). Saitschick analizował każdą osobistość, starając się obok cech zewnętrznych podać przejawy psychiczne, podkreślić i wydobyć te cechy wrodzone lub nabyte, które w zgodnym zespole tworzyły pełną harmonię, lub rozbieżnością doprowadzały do konfliktów niejednokrotnie tragicznych. Szkoda, że autor ograniczył się tylko do XV w. a nie sięgnął dalej, gdzie ten drugi właśnie rodzaj dla badacza ciekawszy uwidocznił się wyraźniej. Pozostawiając ogólną charakterystykę do pojawienia się tomu II. — podnieść jeszcze należy odtworzenie zgodne z oryginałem dzieła w pięknem tłumaczeniu polskiem pióra Maryi Krzeczowskiej.



SILVA RERUM.

PRZYPOMNIENIE. Sesya parlamentu otwarta. Praca komisyi budżetowej w pełnym toku. W chwili tej ostatnia już pora, aby przypomnieć reprezentantom społeczeństwa polskiego ich zobowiązania, zaciągnięte względem kraju i narodu.

Sprawa budowy dróg wodnych dotąd nie roztrzygnięta po myśli życzeń naszego społeczeństwa i od roztrzygnięcia takiego daleka. Rozpoczęcie budowy kanału Zator-Samborek było traktowane przez komisyę międzyministeryalną; żadna uchwała nie zapadła. Czas płynie. Twardy grunt ustawy wymyka się z biegiem czasu z pod naszych stóp.

Stwierdzić należy, że część Koła zdaje sobie sprawę ze swych obowiązków. Dowodzi tego rezolucya prezesa Łazarskiego, uzależniająca głosowanie Koła za prowizoryum budżetowem i pożyczkę od uwzględnienia jego żądań w przedłużeniu o kolejach lokalnych, przyczem na wniosek posła Staniszewskiego polecono komisyi parlamentarnej Koła niezwłoczne przystąpienie do rokowań z rządem w sprawie konieczności ludowych: dwuletniej służby wojskowej, dróg wodnych, kolei lokalnych.

Są jednak stronnictwa w Kole, których postępowanie uprawnia jeszcze do największych obaw. *Caveant consules!*

W OTCHŁANI KORUPCYI. To, co dzieje się wśród reprezentacyi polskiej we Wiedniu, winno nareszcie pobudzić z błogiej drzemki obywatelską czujność i wywołać grzmiący protest w kraju. W błocie prywaty, nikczemnej konkurencyi, a co gorsza, w błocie korupcyi i zgnilizny jednostek grzęźnie polityka polska parlamentarna. Jakowaś *moral insanity*, ogarniająca szeregi posłów puszcza płazem kryminalne występki kolegów-kołowców, lub usiłuje okryć je płaszczykiem pobłażania; nie rychlej następuje słaba reakcya uczciwości obywatelskiej i połowiczna, wahaniem nacechowana represya, aż znowu w imię prywaty lub interesu fakcyjnego ktoś zdemaskuje uczynki konkurenta, aż zaduch buchnie pod niebo, fakt ujawni się oczom obcych i swoich...

Tak było z chłopami-korupcyonistami z grupy demokratyczno-narodowej. Paduch, Fiedler, Wiącek oskarżeni o wyłudzanie pieniędzy od żydów-szynkarzy za rzekome poparcie w wyrabianiu koncesyi. Stronnictwo demokratyczno-narodowe wzywa ich do tłumaczenia się. Paduch występuje ze stronnictwa, z tamtych jeden chory obłożnie, drugi ma żonę chorą.. Rezultat: prezes stronnictwa, prokurator Ptaś referuje sprawę na gremium Koła. I oto pan prokurator, surowy stróż i obrońca prawa, przedzierzga się w adwokata, pełnego sentymentu i współczucia dla słabości ludzkiej; wierzy zapewnieniu Fiedlera, który obiecywał szynkarzowi „traktować pomyślnie“ jego sprawę i tylko „czekał na koszt“ — że czynił on to wszystko, aby zdemaskować intrygę szynkarzy przeciw koledze Paduchowi; wierzy zapewnieniu Wiącka, że dał podpis na wekslu gwarancyjnym przez czyste koleżeństwo. Pan prokurator ma potężny argument ku obronie samego nawet Paducha. Wszyscy ci trzej „biedni koledzy“ posła Ptasia zdaniem jego „padli ofiarą“ intrygi żydowskiej. Biedne ofiary karczmarzy! I miał reprezentant demokracyi narodowej czelność domagać się od Koła rehabilitacyi Fiedlera i Wiącka. Lecz poseł Paduch nie poznaje się na szlachetnych intencyach zacnego Ptasia: przyznaje się do winy, ofiaruje się na kolanach obejść całą Galicyę, tylko mandatu składać nie myśli. Nareszcie i Kołu tego dosyć. Wbrew opozycyi prawdziwego wszechpolskiego prokuratora poseł-korupcyonista zostaje wykluczony. Czcigodny prezes, poseł Łazarski, wzdraga się bowiem przed łączeczeniem swego czystego imienia z imieniem oszustów i korupcyonistów. Podczas uchwały dwa kluby .. nieobecne. Narodowi demokraci usuwają się z sali nie mogąc bronić Paducha, nie chcąc go potępiać; ludowcy wychodzą. Czemu? Czy dlatego, by nie mięszano słusznego wyroku z waśnią stronniczą? Czy może, niestety, aby znów nie usłyszeć o sprawie Szajowicza ze Stapińskim?

Z trzech muszkieterów demokratyczno-narodowych nadstawia się na razie jeden, Wiącek, najbardziej zdolny do odegrania roli Athosa, rycerza bez zmazy i trwogi. Bo cóż ma na sumieniu? Podpis na wekslu! Ależ to koleżeńska przysługa... Toczy się w Tarnobrzegu proces Wiącka przeciw p. M. Kanarkowi o obrazę czci. I staje w tym procesie przed nami postać, żywcem jak gdyby wzięta z satyry zjadliwej, nielitościwej, a rubasznej, jakby wyszła z pod pióra Opalińskiego. Zaprodukowane listy Wiącka z r. 1906, wyłuszczające jego pogląd na „wczasy i pożytki“ posłowania proszą się o godne pomieszczenie w jakiemś wskrzeszonem L i b e r u m V e t o! A paradne owe wiece w Turbi na pohybel żydom urządzane, a potem koszerne obiady i kolacye za pieniądze żydowskie i koszerne jakieś zabawy, wymagające zmiany noclegu przez subtelne poczucie skromności, no i ta bezinteresowna pożyczka żydowska na „fabrykę obrazów świętych“ — I przy tem wszystkiem zapewnienia Ptasia o prawości i tęgości charakteru jego przyjaciela, posła Wiącka... Co było w szlacheckiem społeczeństwie polskiem „za króla Sasa“ najmarniejszego, najbardziej zniepprawionego, najbardziej w marnem grzęznącego samolubstwie, tem dyszy trójka chłopskich „muszkieterów“.

Zapewne: trudno winić stronnictwo, że znalazły się w niem jednostki zgniłe. Stronnictwo tak długo pozostaje czystem, pokąd samo odpowiedzialności za prawość tych jednostek na siebie nie weźmie. Lecz tak właśnie postąpili wszechpolacy, kompromitując się obroną swoich chłopskich drabantów. Panowie ci, tak skorzy do szkalowania rzetelnej zasługi, miotający błoto oszczerstwa na ludzi przekonań, bojowników idei, nietylko, że bronią Stojałowskich, Stohandlów, Dobijów — bronią korupcyi we własnem gronie. Do historyi przejdzie adwokat szantażu i korupcyi, poseł Ptaś.

Broni się „Słowo Polskie“ przed opinią publiczną. Chwali „męską odwagę i siłę moralną stronnictwa... które nie wahało się oddać pod jawny sąd koła swych członków“...

Nie dodaje, że prezes-prokurator dopraszał się dla swych kompanionów klemencyi od tego srogiego sądu;

że „męska odwaga“ nie tyle może powodowała p. Ptasiem, ile pewność, że sprawa i tak będzie poruszoną i pociągnie za sobą straszliwą kompromitacyę stronnictwa. Gdyby nie surowa cnota obywatelska posła Łazarskiego, kto wie, czy Paduchy nie panoszyłyby się dalej w Kole, wzorem Stohandlów, Krupków, Szajerów, Dobijów, Stojałowskich i innych „nowoczesnych Polaków“.

Paduch wyrzucony z Koła, wydany przez parlament jako winny oszustwa, przez wyborców wezwany do złożenia mandatu, na wiecu prześcigany i opluty. Rozpoczęto wymiatać stajnię Augiasza. Opinia zaś publiczna domagać się winna, by wymiatanie to odbywało się bez niewczesnej klemencyi, choćby przytem Koło Polskie wyjść miało w bardzo nawet uszczuplonej liczbie. Oczyszczone ze zgrai korupcyonistów stanie się ono wreszcie zdolnem do walki o sprawę publiczną, o dobro narodu.

ODEZWANIE SIĘ DUSZY... Dnia 15. bm. zaszedł w parlamencie berlińskim fakt niezwykły. Było nim przemówienie posła Górnośląskiego, ks. Wajdy. W miejsce skargi bezpłodnej i tłumaczenia się niewolnika, bez winy skazanego na chłostę, ozwało się oskarżenie, nabrzmiałe krzywdą ludową, potężne sprawiedliwością sprawy. Coś, niby ów głos potężny ks. Janiszewskiego w parlamencie frankfurckim: „Połknęliście Polaków, ale na miły Bóg, nie zdołacie ich strawić!“ Ks. Wajda zmusił nawet rządowców, narodowych liberałów, konserwatystów do słuchania, zawładnął nimi na chwilę potęgą swej szczerości, grozą swego protestu.

Niech mówi o jego mowie szyderska relacya hakatystycznej „Deutsche Tageszeitung“:

„Przy samym końcu dyskusya przyniosła jeszcze małą sensacyę. Głos zabrał ks. poseł Wajda, który od trzech lat zasiada w parlamencie, dotąd jednakże z wyjątkiem krótkiej wzmianki osobistej, nigdy nie przemawiał. Zwykle poseł ten siedział na swem miejscu, jakoby był uosobieniem flegmy. Teraz nagle objawił się jako mówca, któremu pod względem temperamentu nikt w parlamencie nie dorówna. Słowo temperament jest właściwie za słabe. Na trybunie stał fanatyk, w którym każdy nerw drgał. Z ust jego nie padło żadne słowo, ktoremu nie towarzyszyłby giest odpowiedni, tak, że każda myśl uwypuklała się także fizycznie: mowca chwytał się za włosy, ukrywał głowę w dłoniach, składał palce, zaciskał pięści, bił w pulpit, groził palcem, klaskał rękoma. Przytem zmieniał ciągle postawę. Raz stał wyprostowany, to znowu przechylał się to w tę, to w ową stronę, potem cofał się kilka kroków wstecz, wyciągnąwszy ręce lub złożywszy je na piersiach, jak gdyby chciał się bronić lub kogoś zaklinać — a wszystko to z taką szybkością, że nie można jej sobie wcale wyobrazić, nie widziawszy mówcy samego. Przytem umiał głos swój modulować, a szczególnie — jest to właściwością Polaków — uderzyć w tremolo, które na jakimś polskim wiecu ludowym musi masy fanatyzować. A treść mowy była najzupełniej podatną po temu, aby działać podniecająco, chociaż może mówca świadomego zamiaru nie miał, gdyż słowa tego demagoga(!) brzmiały tak, jakby pochodziły ze szczerego serca. Jego szczupła figura w sukni duchownej, jego twarde, jakby z drzewa wyrzeźbione oblicze, o wybitnie słowiańskim typie, uzupełniały wrażenie uosobionego fanatyzmu. Wystąpienie posła Wajdy było tak niezwykłe, że coraz liczniejsze grono posłów gromadziło się dokoła trybuny, aby obserwować nowy ten, a interesujący zarówno pod względem fizycznym jak retorycznym fenomen“.

(gd.) Z TEATRU. Za kulisami. Sztuka w 4 aktach Henryka Rothschilda.

Premiera piątkowa interesowała publiczność ze względu na nazwisko autora, współwłaściciela milionowego domu. Ci, którzy mniemali, że szczęśliwe operacye finansowe zapewniają równe powodzenie na polu literackiem, zawiedli się, ale zawiedli się i ci również, którzy uważają, że talenty handlarskie wykluczają sceniczne zdolności. Pierwszy akt, jak na ekspozycyę jest stanowczo nadto przewlekły, za to dwa następne ujawniają niewątpliwy zmysł spostrzegawczy i pewną dozę scenicznego nerwu.

Zawiść zawodowa, która pono „za kulisami“ dosięga najwyższych rozmiarów i staje się głównym motorem przeobrażenia serdecznych uczuć na wrogie pomiędzy kabotynem Klaudyuszem Bourguil i szczerą artystką Magdaleną Grandier, damą z wyższych sfer, zabłąkaną w świat obcych stosunków — przedstawiona jest dobrze. Na ostatniej scenie, w której Bourguil zrywa otwarcie z kochanką, sztuka logicznie się kończy.

Autor jednak zapragnął laurów wyższej rangi i dodał zupełnie zbyteczny melodramatyczny akt 4-ty z nienaturalnym, obliczonym na efekt finałem otrucia się bohaterki, przemieniającej sytuacyę sceniczną w brutalną rzeczywistość.

Artyści wywiązali się ze swego zadania znakomicie, grą ożywiali i podnosili wartość sztuki, zwłaszcza główne postacie w oddaniu p. Trapszo i doskonale usposobionego p. Żelazowskiego warte były... milionów Rothschilda.

Na więźniów i zesłańców złożyli w dalszym ciągu J. Z. z za kordonu, na ręce G. Daniłowskiego, 100 K — N. Miłkowska z Brukseli 10 K 43 hal. — Kosiński 2 K. — Poprzednio wykazanych 130 K; razem 242 K 43 hal.

Wobec zbliżającego się nowego kwartału administracya „Życia“ przypomina Szan. abonentom o terminie wniesienia przedpłaty. Wszystkich przyjaciół naszego pisma wzywamy do jednania mu nowych czytelników, odbiorców, prenumeratorów. Każdy nowy prenumerator roczny lub półroczny otrzyma bezpłatnie komplet „Życia“ za I. kwartał br. (13 zeszytów); każdy prenumerator kwartalny otrzyma go za dopłatą 2 kor. Nieliczne już komplety z roku 1910 (13 zeszytów) są jeszcze do nabycia po cenie 3 kor.; prenumeratorzy płacą 2 kor.

Z dniem 1. kwietnia adres redakcyi i administracyi Lwów, ul. Dąbrowskiego l. 2.

„Życie“ wychodzi w każdą sobotę po południu.

Prenumerata wynosi:

	rocznie	półr.	kwart
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier	20 kor.	10 kor.	5 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego nru 40 hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy lub jego miejsce **na 2 i 3 str. okładki 30 hal., na 4 zewnętrznej 40 hal** Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada.
Adres Redakcyi: Lwów, ul. Dwernickiego l. 11 A.
Adres Administracyi: Dąbrowskiego 2, (parter na prawo).
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 1 przed południem. Redaktor przyjmuje codziennie między g. 12—1.
Wydawcy: Dr. Aleksander Lisiewicz i inż. Hipolit Śliwiński.
Redaktor naczelny Gustaw Daniłowski.
Redaktor odpowiedzialny dr. Maryan Kukiel.